Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 26. Grudnia 1880 r. Tom XI.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 52.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Od Redakcji.

Czyniąc zadość licznie objawionym życzeniom, zaprowadzamy z dniem 1. stycznia r. p. w wydawnictwie *Tygodnia* niektóre zmiany i zniżamy cenę przenumeracyjną prawie do połowy, bo do 2 złr. kwartalnie we Lwowie, a do 2 zł. 50 ct. na prowincji, z przesyłką.

Zmiana polegać będzie na tem, że oryginalne powieści naszych autorów i wszelkie inne artykuły pomieszczać będziemy w jednym arkuszu — drugi zaś arkusz obejmie pierwszorzędną powieść z literatury zagranicznej, drukowaną w sposób książkowy i będzie stanowił niejako dodatek, którego prenumerowanie pozostawiamy do woli czytelników i którego cenę oznaczamy na 50 ct. kwartalnie.

Reforma ta nie wpłynie ujemnie na wartość pisma, owszem, pozwoli mu być troskliwiej opracowanem i więcej jednolitem, bo zresztą ani siły redakcyjne, ani liczba współpracowników nie zmniejszą się.

Zaledwie potrzebujemy dodać, że pod względem zewnętrznej formy i treści, oraz pod względem wyznawanych zasad i programu, żadne zmiany w *Tygodniu* nie zajdą.

Mamy nadzieję, że uznanie, jakiem cieszyliśmy się dotąd, potrafimy zaskarbić sobie i w przyszłości i że zniżając cenę naszego pisma, damy możność rozszerzeniu się jego tam nawet, gdzie dotąd dla wysokiej ceny nie mogło się przedrzeć.

Długo namyślaliśmy się nad wyborem powieści, jaką dać mamy w dodatku i przyszliśmy ostatecznie do przekonania, że wszystkie pojawiające się obecnie w literaturze zagranicznej nie wychodząc po za średni poziom, mają wartość jedynie chwilową — i dla tego wybraliśmy dawniejsze, lecz zawsze wielkie arcydzieło »Nędzników« Wiktora Hugo, arcydzieło, którego właściwie nasza literatura nie posiada, gdyż przekład dawny, zresztą już wyczerpany, dokonany pod cenzurą rosyjską, musiał co chwila osłabiać myśl poety i opuszczać niemal całe rozdziały.

Z dniem 1. stycznia rozpoczniemy druk prześlicznej powieści Sewera p. t. »Dumcio mój sąsiad«, a następnie damy najnowszy utwór ulubionego Autora »Kłopotów Starego Komendanta.«

Ponieważ wielu Sz. Prenumeratorów nadesłało przedpłatę w dawnej wysokości — nadwyżkę zapisaliśmy na następne kwartały i *Tydzień* będziemy im wysyłać z dodatkiem powieściowym, którego gdyby nie życzyli sobie odbierać, zechcą o tem redakcję zawiadomić.

Upraszamy również o wczesne nadsyłanie przedpłaty, ażeby się nie powtórzyło to, co w roku bieżącym: że już w miesiącu styczniu nakład *Tygodnia* został wyczerpany i redakcja nie mogła uczynić zadość ani nowym żądaniom, ani reklamacjom.

Szczegółowe warunki prenumeraty *Tygodnia* na r. 1881, podane są na pierwszej stronie okładki.

WOŁY ROBOCZE

SZKICE PATOLOGICZNO-SPOŁECZNE

przez

Autora kłopotów starego komendanta.

IV.

Mąż pięknej żony.

(Dokończenie).

Przyszła wiosna, pani z całem otoczeniem mamy, kuzynów i kuzynek zjechała na wieś z intencją zajęcia się opuszczonem gospodarstwem. Zaczęła od pieczenia obwarzaneczków, które pan Szymon bardzo lubił, a których przepis przysłała jego siostra. — Poczciwy szlachcic był w siódmem niebie; obwarzaneczki wprawdzie przez dwadzieścia cztery godzin leżały mu kamieniem w żołądku, ale chwalił i jadł, żeby zrobić przyjemność żonie i zadać kłam swoim gościom, którzy nie mogli w nich doszukać się zachwalanego smaku.

Trzeba nieszczęścia, że przy pieczeniu tych ciastek zaziębiła się pani i dostała chrypki. — To nic, przejdzie, uspakajała męża, który się tą chrypką zaczął niepokoić, ale gdy po tygodniu nie przechodziła, posłano po doktora, i panią położono do łóżka. Boże drogi, jaki to z powodu tej choroby powstał ogromny przestrach w całej rodzinie. Zjechał i sam papa Jankielowicz z dwiema starszemi ciotkami, otoczono łóżko pani Adeli z oznakami widocznej niechęci dla pana Szymona, który dla dogodzenia swemu łakomstwu co się tyczy owych obwarzanków, śmiał poświęcić zdrowie, a kto wie czy i nie życie pięknej kobiety.

— Ależ ja nie prosiłem — sumituje się zatrwożony szlachcic — ona sama koniecznie się naparła.

— Mój kochaneczku — odpowiada mu na to stentorowym głosem pan Jankielowicz — żebyś ty był mąż jak się należy, to byś nie pozwolił...

— Ach — dodaje z płaczącą miną jedna z ciotek — u tych panów na wsi, to kobieta tyle znaczy, co sługa folwarczna. Chcieliby z niej mieć wszystko, byle nie żonę...

— Zabiłeś mi dziecko, ty egoisto! — dodawała zwykle mama Jankielowicz, przeszywając zięcia piorunującem spojrzeniem, pod którem biedny Szymon topniał jak wosk, a łzy rozpaczy leciały mu gradem po twarzy. — Sam nie był zdecydowany, czy jechać wprost do prokuratora i oskarżyć się o zabójstwo, czy też wydać sobie wyrok i skryć się na wieki w nurtach zielonego Liwca.

Po tygodniu takiego niepokoju i desperacji, podczas których nie pozwalano mu nawet zbliżać się do żony, niestety jeszcze piękniejszej żony w ślicznym haftowanym negliżyku, zdecydowano sprowadzić dziadka Rubnera i jednego z najpierwszych lekarzy z Warszawy. Panowie ci przyjechali, pukali, oglądali i egzaminowali chorą, a po dwugodzinnych naradach prowadzonych po łacinie, zawyrokowali, że wprawdzie nie ma na teraz niebezpieczeństwa, ale potrzeba jak najprędzej wysłać ją za granicę na kurację. Pan Szymon odetchnął i tak był uszczęśliwiony, że po kolei rzucał się na szyję wszystkim, a przed żoną klęknął jak przed obrazem i całował jej ręce ze łzami radości w oczach...

— Więc ty mię tak kochasz Szymonie? — pytała go głaszcząc delikatną rączką po głowie.

— Jak Boga samego...

— Mój drogi, czego się tak entuzjazmujesz! Wierz mi, ja nie jestem tego warta. Co oni się znają, ci doktorzy; straszą was niepotrzebnie, mam chrypkę katarową, nic więcej i nie myślę jechać za granicę.

— O, moja droga, musisz...

— Wiem, że ci będzie ciężko...

— To już moja rzecz aniele... abyś tylko była zdrowa i wesoła...

Ułożono tedy projekt wyjazdu. Pan Szymon miał ją odwieść do Gleichenbergu i zostawić pod opieką dwóch kuzynek, bo jak się pokazało i panna Helena potrzebuje świeżego górskiego powietrza, a biedna Anielka umarłaby z tęsknoty bez Adelki...

Dziadek Rubner i pan doktor odjechali, a Szymon zajął się przygotowaniem do podróży, uszczęśliwiony, że Adelcia jest dla niego tak dobrą, jak nigdy. Jednakże wśród tych przygotowań, zaszła pewna okoliczność, z którą się mąż pięknej żony nie rachował — to jest nie mógł z nikąd pożyczyć pieniędzy. Przed ożenieniem się interesa jego już były chwiejne, a gdy dwuletnie życie i prowadzenie domu nad stan, w niczem ich poprawić nie mogły — przyszedł kryzys, i nikt więcej pożyczyć nie chciał. — Na dobitkę jeszcze urodzaje na polu pokazały się bardzo złe, oziminy wymokły, a jarzyny przy suszącym wietrze ledwie dyszały w spopielonej ziemi — zatem i sprzedaż zboża na pniu nie miała widoków.

Ile razy powracał pan Szymon ze swoich wycieczek do miast sąsiednich, miał minę do gruntu przygnębioną, a mimo że silił się przed Adelką na uśmiech i strojenie wesołych żarcików, jednakże kochająca ta istota, a zdaje się toż samo i papa zauważył ten jego niepokój, bo pewnego razu wziąwszy go na stronę, poufale założył mu rękę na szyję.

— Ty się nie martw, mój ty kochaneczku, Adelki choroba nie jest groźna, ja mojemu teściowi wierzę, on powiedział, że u niej płuca są zdrowe jak miechy...

— Być może, tylko że mnie o co innego idzie?

— No, o co? Mów ze mną otwarcie, jak ze zwyczajnym człowiekiem, bo ja tobie powiem Szymonie, że jestem z ciebie kontent.

— Przyznam się ojcu dobrodziejowi — rzecze na to z pewną otuchą Szymon — mam trochę kłopotów finansowych... Wydajemy cokolwiek za wiele...

— No, to bardzo źle! Ja sądziłem, że ty Szymonie masz dobrą głowę do rachunków i interesów. Każdy mąż powinien tak się starać, żeby wszystko było w porządku. Zapytaj moją Elżbietę, czy jej kiedy co brakuje? Ona nie wie i nie powinna wiedzieć o moich interesach, ona chciała jechać do Paryża — ja dał. Ona chciała mieszkać przez zimę w Nicei — ja dał... Ona kąpała się w dwóch morzach — ja dał... Mój kochaneczku, każdy z nas mający piękną żonę, bo moja Elżbieta była bardzo piękną, powinien wiedzieć, że wszystko co piękne, drogo kosztuje... Co teraz można dostać za tanie pieniądze, sam powiedz mi, Szymonie — chyba tandetę jaką... Dlatego ja tobie powiadam, nie martw się, a myśl zkąd, jak... aby było... Każdy człowiek z głową zawsze coś wymyśli.

Innej wprawdzie spodziewał się odpowiedzi od najukochańszego ojca, i dlatego gdy wszedł do pokoju żony, miał minę tak dalece strapioną, że odważyła się zapytać:

— Szymonie, duszko, czyś ty słaby? No, mów-że coś, widzisz, jak jestem niespokojna — dodaje biorąc go za rękę i sadzając przy łóżku.

— Rzeczywiście jestem zmartwiony... Wiesz jak pragnę, żebyś jak najprędzej mogła wyjechać...

— Nie dobry jesteś... chciałbyś się mnie pozbyć...

— Adelciu, jak możesz coś podobnego mówić — wyrzekł, patrząc się na nią z lekkim wyrzutem...

— No, no, nie dąsaj się moja duszko... ja żartowałam... Powiedz otwarcie, może ten wyjazd robi ci jaką różnicę?

— Właśnie tak, niby, bo w tej chwili nie mam pieniędzy... chciałem pożyczyć, lecz idzie tak trudno...

— Duszko, Szymonie, to mię trochę zadziwia. Żyjemy skromnie...

— Zdaje mi się — mówi z wielką nieśmiałością małżonek, że przeciwnie — rozchody na dom są dosyć wielkie...

— Czy to ma być wymówką, że moja rodzina tak często u nas przesiaduje? — rzecze nieco rozdrażnionym głosem. — Dobrze, powiem im, żeby sobie pojechali.

— Ale cóż znowu — przerywa pospiesznie Szymon — ani mi to przez myśl przeszło. I owszem, skoro ci to robi przyjemność. Ty wiesz przecie, aniołku, że dla ciebie duszę bym sprzedał...

— Ooo, takiej ofiary nie śmiałabym wymagać — mówi dalej wciąż obrażonym tonem — i wierz mi, gdyby nie nalegania wszystkich, nie myślałabym o wyjeździe...

— Otóż właśnie myślałem — rzecze na to bardzo delikatnie i z pewną nieśmiałością w głosie — gdybyś słówko powiedziała ojcu...

— Ja mam prosić ojca! — zawołała z oburzeniem, podnosząc się na łóżku.

— Cóż to ma być tak złego?... Córka do ojca...

— Za nic w świecie! Mylisz się, jeżeli sądzisz, że Jankielowiczówna może do kogobądź, a nawet do rodzonego ojca wyciągać rękę po żebraninę. Jestem twoją żoną i do ciebie tylko jednego mam prawo odezwać się, daj!

— Niepotrzebnie się unosisz, moja droga — odzywa się błagalno zastraszonym tonem pan Szymon. — Tu nie idzie o żadną żebraninę, ale o chwilową pożyczkę... Zresztą obiecany był jakiś posag... — dodaje cichym głosem.

— Aha! Więc to pan posagu żądasz!... Mojej osoby już za mało.

Szymon struchlał. Na piegowatą twarz jego wystąpiła taka bladość, że te czerwonawe punkta wydawały się jak hreczka na starym białym koniu.

— Ależ ja nie chciałem, Adelciu, jak ciebie kocham, jak pana Boga kocham... Wszak to dla ciebie... no, daruj, być może powiedziałem niedorzeczność... jak pana Boga...

— Więc chciałbyś, żeby ci kto inny żonę utrzymywał? — przerywa mu ochrypłym głosem. Otóż ja na to nie zezwolę, rozumiesz, Szymonie, nie zezwolę! Jeżeli poświęciłam się idąc za ciebie, to niech przynajmniej ludzie nie wiedzą, żeś mię wziął dla posagu. Dlatego proszę cię raz na zawsze, nie używaj mię nigdy do tego rodzaju poselstwa i nie zaczepiaj ojca. Ja znam jego ambicję, on by zachorował z irytacji i zmartwienia. Chcesz, mogę się oszczędzać do ostatnich granic, zamknę dom, odprawię sługi, a nikogo prosić nie będę...

Otoż w ten arcynieprzyjemny sposób skończyła się pierwsza poważniejsza rozmowa między małżonkami, a zdaje się treść jej musiała być udzieloną mamie i kamarylli Jankielowiczów, bo wszyscy od tej chwili zaczęli spoglądać na Szymona jak na wroga, gdy piękna ofiara chciwości męża, miała wciąż podsiniałe oczy od płaczu.

Skutkiem takiego zmartwienia, chrypka jeszcze się pogorszyła i pewnego pięknego poranku dowiedział się Szymon od mamy, że Adelka nie mając tutaj dostatecznych wygód i spokoju, musi wyjechać do domu rodziców na kurację.

— Proszę cię, każ przygotować po-

wozy na jutro, a jeżeli nie masz tyle koni, to poszlij do miasta po pocztowe, a ja zapłacę.

Daremnie próbował Szymon wytłumaczyć się przed matką, daremnie chciał się dostać do pokoju żony, aby ją przebłagać, matka nie chciała słuchać, a żona nie pozwoliła, aby ją bardziej rozdrażniał. Ktoby go wtedy zobaczył, jak z głową odkrytą i dziwnie wykrzywioną twarzą biegał tu i tam po lipowej alei rozmawiając z sobą i rękami machając w powietrzu, byłby go wziął za człowieka pozbawionego zmysłów. Biedny pan Szymon, on tak szczerze i serdecznie kochał swoją żonę!

Nareszcie wypakowano wszystko na dwie furmanki i zaszły powozy. Pani Adela widocznie zlitowała się nad rozpaczliwem położeniem swojego męża, bo pozwoliła przeprowadzić się do powozu. Idąc drżał jak listek, a oczy pałały na przemian żalem i złością, że poświęciwszy tyle tej kobiecie, ona dziś z najspokojniejszą myślą, a nawet z wesołem obliczem opuszcza ten dom zostawiając go z jego rozpaczą.

— Szymonie, każ dać poduszkę jaką pod nogi — odzywa się pani Adela zasiadając w powozie — dla mnie siedzenie to za wysokie.

Zły duch widocznie podmuchnął w tej chwili na umysł rozżalonego małżonka, bo odezwał się dość szorstko:

— Nie jest za wysoko; przecież powozy jednakowo dla wszyskich robią...

— Ale proszę cię zobacz, nogi nie dostają pudła.

Pan Szymon zobaczył, i powtórzył, że jest bardzo dobrze i tak być powinno.

— Pamiętaj, Szymonie, jak mi ty na złość robisz! Pamiętaj! — odezwała się rzucając na niego iskry z swych czarnych oczu...

— Poczekaj! — każę przynieść...

— Teraz już dziękuję, nie potrzeba!... Nawet w takiej drobnostce nie możesz dla mnie zrobić ustępstwa... I to się nazywa miłość?... Bądź zdrów...

— Adelciu, czy to się godzi tak mię żegnać! — zawoła Szymon z rozpaczą szukając jej ręki pod okryciem.

— Niepotrzebne takie komedje! Kto przez całe dwa lata robił mi dzień po dniu same przykrości, to niechże przy ludziach nie udaje, że jest czułym!... Dobrze, dobrze, bądź zdrów, a ja ci napiszę kiedy masz przysłać konie.

I pojechała, i ani razu nie wychyliła głowy z powozu, aby rzucić przyjazne spojrzenie człowiekowi, który przez cały czas tego małżeństwa zaparł się własnego *ja*, żył jej myślą, pragnął jej chęciami, widział i słyszał i czuł to, co ona widziała słyszała i czuła.

Przez całą noc nie kładł się pan Szymon, a tylko siedział przy biórku i pisał i darł i znowu pisał, aż ukończywszy nad ranem to pismo, umyślnym posłańcem wysłał do stacji kolejowej. Trzeciego dnia odebrał następującą odpowiedź od żony.

»Dziękuję ci za troskliwość o moje zdrowie. Jutro wyjeżdżam za granicę, dzięki hojności dziadka, który dowiedziawszy się o smutnym stanie twojego majątku, sam ofiarował mi tę pomoc. Opuszczając rodzinę i kraj na czas dłuższy, muszę postąpić otwarcie zawiadamiając, że dalsze pożycie nasze jest niepodobnem. Za wysoko cenię moją prawość, żebym cię miała dłużej zwodzić. Dopóki zdawało mi się, że cię mogę pokochać, znosiłam wszystkie twoje kaprysy i samowolę. Dzisiaj przekonałam się, że to jest niemożebnem, a udawać nie umiem. Wierzaj mi, nie wiele stracisz pozbywając się tak niemiłego ciężaru, jakim byłam dla ciebie. Nasze usposobienia i warunki umysłowych pojęć stoją tak daleko od siebie, jak niebo od ziemi. Ty będziesz szczęśliwszy dobrawszy sobie żonę wychowaną na wsi w sferze potrzeb i pojęć obywatelskich. Dlatego proszę cię, nie staraj się mnie przekonywać inaczej, bo postanowienie moje jest nieodwołalne. Dałam plenipotencję adwokatowi do rozpoczęcia procesu rozwodowego i z nim możesz dalej się porozumiewać. Życzliwa zawsze Adela.«

Drugi list był od papy Jankielowicza, list groźny i pełen wyrzutów:

»Nie spodziewałem się nigdy, żeby taki obywatel, z takiego rodu Jagłowskich, mógł dopuścić się względem nas podstępu. Kiedy się starałeś o moją córkę, ja sam oglądałem hypotekę i była w dobrym stanie, a teraz co? — Długi przenoszą wartość i moja córka musiałaby skazaną być na nędzę. — Dwa lata życia zmarnowała klepiąc biedę z tobą i straciwszy zdrowie, które ja teraz muszę swoim kosztem reperować. To jest niegodziwość! Więc słuchaj, panie Szymonie, co ja tobie napiszę. Jeżeli ty zgodzisz się na rozwód dobrowolnie, to ja daruję tobie wszystkie straty na kurację i procenta od posagu nie żądając alimentów. Rozmyśl więc sobie na rozum, bo jak pójdzie na proces, to i o te puste miejsca w lesie, które są zastrzeżone kontraktem, będę się musiał upominać... Pamiętaj, że ty miałeś najpiękniejszą kobietę przez dwa lata za żonę, a ona najbrzydszego męża. No i to przecież coś warte, bo ja wiem ile to piękne żony swoich mężów kosztują.«

W dopisku jeszcze stało:

»Dziadek doktor jest oburzony na ciebie i sam nie pisze. Kazał mi tylko powiedzieć, że gdyby on był młodszy, toby ciebie nauczył, co to jest odmawiać pięknej kobiecie poduszki pod nogi.«

Naturalnie, że po przeczytaniu tych listów, pan Szymon z irytacji, z żalu i oburzenia zachorował, ale nie ciężko. Wytrzeźwiał trochę i ocknął się gdy przyjechała siostra ze szwagrem i zaczęli mu oboje kłaść w głowę, aby dał pokój wszelkim staraniom do pogodzenia się z żoną, ale żeby nie zezwalał na rozwód i całemi siłami utrudniał proces. Otóż ta rada jako odpowiednia uczuciu zemsty i nienawiści nurtujących Szymona, trafiła do jego przekonania. Cztery lata już upłynęło od tego czasu, a pan Szymon broni się jak lew we wszystkich sądach, począwszy od konsystorskiego, a skończywszy na gminnym, albowiem ukonsolidowana spółka Jankielowiczów z Rubnerami dokucza mu i szykanuje jak tylko może. Gospodarstwo w Wielkich Jagłach już ledwie dyszy, wierzyciele szarpią go bez miłosierdzia, a on tylko przesiada się z bryczki na bryczkę i jeździ i konferencje odbywa z adwokatami i o niczem innem nie mówi, tylko o zemście nad swoją żoną. Jednakże, bywają chwile, a powiem o nich czytelnikom pod wielkim sekretem, że pan Szymon rozmyślając o sobie wśród ciszy nocnej powiada: »Żeby chciała się pogodzić ze mną, o wszystkiem bym zapomniał, ach żeby chciała.«

Nie wiadomo jeszcze czy zechce, bo proces dotąd nie przeszedł pierwszej instancji w konsystorzu, a interesa pana Jankielowicza podobno mocno zachwiane. Powiadają, że jeżeli w tych czasach stary Rubner nie umrze, i on spadku po nim nie dostanie, to pani Adela gotowa spuścić z tonu. Kto wie? — bywa to różnie na świecie, a piękne kobiety miewają takie kaprysy, że najbujniejszej fantazji poeta nie jest w możności nic pewnego w tej materji wyspiewać.

KONIEC.

ZA TANIO.*)

Za tanio kupujemy to wszystko, co należy do umysłowego, duchowego zadość uczynienia naszym potrzebom... — Oj, oj, pięknie mi tanio! — jęknie niejeden, co kupił ceną dziesięciu rubli galerjowy bilet na wystąpienie Kochańskiej, aby się nasycić czarującemi dźwiękami galicyjskiego słowika. — Prawda, cena wysoka, niepraktykowana na biedne nasze warszawskie stosunki, ale czyż ta cena jest u nas normą? Czyliż obok wyjątkowo wysokiej opłaty do przybytku harmonji na wystąpienia Kochańskiej, nie uczęszczamy na bajecznie tanie koncerta Towarzystwa muzycznego? A przecież nie pierwszy, lecz ostatni fakt jest normą, jest ową modłą zwyczajną, która daje miarę ceny, do jakiej u nas muzykalne przyjemności dochodzą. — Ktoś wyrachował, iż przy podwyższonej cenie wkładek, pobieranych przez Towarzystwo muzyczne, wstęp na pojedyńczy koncert nie przechodzi dla jednej osoby 15 kop. Podobnej taniości muzykalnych produkcyj nie znajdujemy w całej Europie. Wiedeńskie towarzystwo muzyczne w świeżem ogłoszeniu na serję dziewięciu wieczorów, każe sobie płacić za męzki bilet wejścia 20 guldenów, a żeński połowę. Sławne lipskie towarzystwo zna tylko abonament trzy i dwumarkowy, a ceny innych podobnych muzykalnych instytucyj są albo wyższe albo równe, a już nigdy nie niższe. W Wiedniu prosty poobiedni koncert wojskowej bandy kosztuje 50 krajcarów, co bez kursu naszej dwuzłotówce odpowiada; a gdy król walców w Volksgartenie uszczęśliwia dzieci grodu nad modrym Dunajem tonami swego smyczka — to sobie guldenka za wejście zapłacić każe. I wiedeńczycy płacą, podrygują i są zadowoleni — kiedy u nas wyśmianoby domowego wirtuoza, gdyby swą

*) Artykuł niniejszy zawierający trafne uwagi nad stosunkami literacko artystycznemi w Kongresówce, podajemy za jednem z pism warszawskich, gdyż uwagi te i do nas w zupełności zastosować można. (P. R.)

*

muzę produkując na estradzie ogrodowej, po 60 kop. za wejście zażądał. Który kompozytor tej co Strauss miary odważyłby się wystąpić wobec kawiano-piwnego audytorjum, a jednak bez szemrania po dwa lub jednym guldenie płacącego za wstęp? Nie mówiąc o domowych prorokach, niemających miru we własnym kraju, pamiętamy jak kłócono się z Bilsem, gdy jednego roku z 40 na 50 groszy podniósł cenę za swe koncerta. — Ta nizkość bajeczna ceny na muzykalne przyjemności czegóż jest dowodem? Małego pożądania muzykalnych wzruszeń, małego zapotrzebowania wrażeń, którem Orfeusz morza i piekła uspokajał. Cudzoziemcy i to nader rozgłośnych nazwisk, osiągają wysokie ceny za koncertowe bilety, ależ czy to jest zapłatą za muzykę? Nie — jest to podatkiem płaconym od próżności, światowości i różnych przymiotów i wad towarzyskich — ale nie za muzykę. Targi, jakich niejednokrotnie jesteśmy świadkami na posiedzeniach publicznych Towarzystwa muzycznego warszawskiego, świadczą, że nawet ci, którzy się członkami tego stowarzyszenia mienią, mało cenią muzykę. Sądząc z ceny, możnaby przyjść do wniosku, że katarynki w zupełności zadawalają nasze zapotrzebowania muzykalne.

Co za tem idzie? rzeczywista, materjalna nędza artystów i zupełne ich lekceważenie. — Jeden i drugi wniosek potwierdzają fakta. — Z wyjątkiem małej liczby tych artystów, którzy się zabezpieczają na różnych rządowych lub instytutowych stanowiskach, z wyjątkiem małej liczby szukających w zyskownym handlu instrumentami i spekulacji zarobku — reszta przekrzyczawszy sobie gardło lub czując grabiejące ręce, w stanie graniczącym z nędzą, pędzi lichy żywot w długiej dobie swych dni ostatka. — A czyliż u nas jest ich praca dostatecznie cenioną? Bogaty bankier bez zarumienienia prosi artystę, aby mu zagrał na wieczorze i sądzi, że szklanka herbaty dostatecznem jest wynagrodzeniem. — Komitety dobroczynne, potrzebujących i niepotrzebujących dziadów, wszelkiego gatunku żebrzące instytucje uważają sobie za najświętszy obowiązek wyzyskiwać pracę artystów, która nie jest ani cenioną, ani szanowaną. Jeśli kto ofiaruje stu-rublowy papierek — jest dobroczyńcą, odbiera hołdy a nawet podziękowania w gazetach; ale artysta, który niejednokrotnie napędza swą ciężką pracą setki rubli do kas dobroczynnych, jest sobie niezwracającą niczyjej wdzięczności istotą. — Nikt mu tego nie pamięta nawet — i nigdy nam się nie zdarzyło w życiorysach artystów czytać, że byli dobroczyńcami nędzy! Śpiewali, grali na ubóstwo — rzecz ich rzemiosła, prosta konieczność. A jednak w społeczeństwach, gdzie się artystyczna praca na serjo ceni, nikomu na myśl nie przyjdzie rzeczywistych artystów utrudzać i wyzyskiwać na rzecz dobroczynności. Funkcję tę pełnią tam arystokratyczni amatorzy, a jeśli wyjątkowo na koncercie jaka artystka wielkiej sławy zaśpiewa, to wtenczas już gdy jest dostatecznie bogatą, aby taka ofiara nie była jej uciążliwą.

To, cośmy powiedzieli o taniości wrażeń muzykalnych u nas, stosuje się i do wszelkich innych duchowych zadowoleń. W obu kunstvereinach wiedeńskich, bilet wejścia kosztuje 50 cnt. czyli dwa złote a niezawsze jest tam coś nowego godnego widzenia; tylko w święta po godzinie drugiej ceny biletów są zniżone. — Galerje z obrazami starych mistrzów stoją otworem, bo to chleb powszedni dla estetycznego wykształcenia mass. Ale to co nowe, co nęci ciekawość — to wszystko płaci się stosunkowo dość drogo. Nietylko bowiem, że trzeba wejście zapłacić, ale i katalog kupić, gdyż w sali oprócz numerów nie ma żadnych innych objaśnień. A jednak uznajemy całą tego słuszność, gdyż zysk z katalogów jest dochodem wdów i sierot, a samo drukowanie katalogów daje zajęcie zecerom i wpływa na drukarstwo. — U nas przeciwnie, na takie względy instytucje nie zwracają uwagi, ale przedewszystkiem dążą, aby stany bogate jak najmniej płaciły za swe duchowe zadowolenie; więc owe pięcio kopiejkowe bilety wejścia, owe bezpłatne instrukcje itd.

W pewnej części trzeba to usprawiedliwić; inaczej być nie może, skoro ogół mało ceni poczucia artystyczne i za ich zadowolenie płacić nie chce. Tylko ceny obrazów naszych w rażącej są sprzeczności z cenami, jakie uiszczać trzeba za prawo ich oglądania.

Wiadomo, że malarze nasi sądzą, iżby ubliżyli sobie, gdyby na utwory swego pędzla niskie a przynajmniej dostępne kładli ceny. Niestety, to czego częstokroć brakuje obrazowi, to musi dopełnić wysoka cena. Kto siebie nie szanuje, nie może wymagać aby go szanowano — prawdę tę trudno wypaczyć karykaturalniej, jak ją wypaczyli nasi artyści. Takie też zbierają tej polityki owoce. W obu wiedeńskich kunstvereinach w pierwszych tygodniach otwarcia wystaw, trwa prawdziwa wędrówka amatorów i znawców, oraz zbieraczy obrazów, którzy wszystkie płótna rzeczywiście mające wartość i przystępne ceną — wykupują. To też kiedy u nas sprzedaż obrazka z wystawy jest rzadkością, tam chlebem powszednim. Przyczyny wskazaliśmy wyżej. Nie idzie o to, aby artyści nasi zniżali swą sztukę do rzemiosła popłatnego, jak to niestety w Niemczech lub we Francji ma miejsce, ale trzeba, aby zastosowali się do możności naszych kieszeni. Obrazy są u nas za drogie — ale widzieć je można za pieniądze liche.

Jest to nieusprawiedliwionem przekonaniem, że za granicą wszelkie przyjemości i zabawy są tanie i dostępne ogółowi. O ile sięga nasza znajomość Europy, kompletnie nie możemy tego utrzymywać za pewnik. Zajęcie krzesełka w śpiewającej kawiarni na polach Elizejskich kosztuje 3 franki, a program piosenek jest skąpy, wystawa z wyjątkiem oświetlenia, licha. Wejście do Neue Welt pod Wiedniem w dnie świąteczne kosztuje $1\frac{1}{2}$ guldena, i oprócz walców wojskowych muzyk, nic się za to nie dostaje więcej. — Mellini w Kwiatowej sali wiedeńskiej, pokazuje wcale zresztą nienowe sztuki przed krzesłami po dwa guldeny! Cenom takim nikt się nie dziwi, każdy je uznaje za sprawiedliwe i słuszne, gdyż ciekawość jest zbytkiem, a zbytek powinien płacić. U nas prasa wystąpiłaby bardzo silnie przeciwko panu Melliniemu, za to, że nie szczędzi kieszeni... bogatych gapiów. W ogóle bowiem interesa kieszeniowe ludzi zamożnych znajdują gorliwą w prasie naszej obronę, tylko rzeczywiste potrzeby ludu nie budzą godnego w takim wypadku zajęcia. Nadzwyczaj dbamy, aby skoczki i muzykanci produkowali się tanio, ale jesteśmy mniej czuli na podrożenie chleba lub mięsa. Wprawdzie ten i ów dziennikarz o ceny pierwszych potrzeb do życia zawadzi, ale wnet je wymija jako przedmiot niewdzięczny do dziennikarskiej deklamacji. Drogi chleb — tania zabawa, nie są udziałem społeczeństw normalnie się rozwijających.

Co się tyczy rozkoszy czysto umysłowych kosztują one najtaniej, najmniej są bowiem pożądane od społeczeństwa, najmniej cenione i tem mniej, im stopień tych rozkoszy jest wyższy, a zatem bardziej dla poczuć ogółu nieprzystępny. Wiadomo, że u nas nieoddanie pożyczonej książki nie uważa się za kradzież i że człowiek, który nigdy trzech rubli nie ukradł, nie waha się przywłaszczyć sobie tej wartości w postaci zadrukowanej bibuły. Jeżeli porównamy podobne obyczaje z podaniami starożytnemi, przedstawiającemi rękopisy w złotych zachowane szkatułach na równi z najdroższemi skarbami, musimy chyba przyjść do przekonania, iż w pojęciach o wartości umysłowych rozkoszy, zaszła dość radykalna różnica. Nie egzagierując jednak, trzeba przyznać, że praca umysłowa zanadto u nas nizko ceniona.

Najlepszym tego dowodem cena naszych książek w porównaniu z cenami zagranicznych. Gruba to nieznajomość rzeczy utrzymywać, że książki niemieckie lub francuzkie są tanie. Niewątpliwie niektóre pisma popularne, książki dla ludu, kalendarze, wydania zbiorowe dawnych pisarzy są istotnie tanie, gdyż rozchodzą się masami, a druk i papier są za granicą tańsze niżeli u nas, pomijając to, że są ozdobniejsze i że całe wykonanie wydawnictwa z większą łatwością nakładcom przychodzi. Ale książki nowo pojawiające się, powieści oryginalnie napisane, dzieła naukowe są daleko droższe. — Niemiecki wydawca z najzimniejszą krwią nakłada na powieści Spilhagena lub Auerbacha po sześć lub siedm guldenów ceny i nikt się temu nie dziwi, nikt nie protestuje i nie jęczy, kiedy u nas książka wyżej rubla jest rodzajem postrachu dla kieszeni nabywcy.

To też jeżeli weźmiemy ceny oryginałów niemieckich lub angielskich a naszych przekładów, pokaże się, że te ostatnie bezproporcjonalnie są tańsze, chociaż ani podobna zamarzyć o podobnym jak za granicą odbycie. Ta konieczność dawania tanio jest powodem, dla którego nasze spółczesne wydania pod wieloma względami szwankują. Tak np. nie jesteśmy wstanie wydawać oryginalnych powieści, ale tylko odbitki, gdyż koszta uczyniłyby książkę nieprzystępną. Lepsi nasi powieściopisarze biorą od 400 do 600 rs. za tom powieści, która w osobnem wydaniu nie mogłaby nad rubla kosztować; jeżeli z tej ceny odtrącimy czwartą część księgarskiego rabatu, koszta druku i papieru pięciuset rubli dochodzące, to przy tysiącu bitych egzemplarzach — a i tysiąc sprzedać trudno — nakład okaże się niemożliwym, gdyż przynosi straty. — Tylko więc uprzednie przeprowadzenie powieści przez szpalty dziennika umożebnia wydawnictwo. A jednak taki sposób wydawania książek jest najniefortunniejszym, zabija on prawdziwą sztukę literacką i niszczy rzeczywisty handel księgarski.

To, *za tanio* nas gryzie i zjada, ale patrząc trzeźwo nie da się ono pokonać deklamacjami, nawoływaniami. Możeby kwestję wyjaśnić i wiele objawów tym sposobem wytłómaczyć — ale nie usunąć. Tylko powszechny rozrost oświaty, potrzeba życia wyższem umysłowem życiem, pra-

ca i dobrobyt, są zdolne zniżyć ceny na produkcją, materjalnych potrzeb, a podnieść na to co ma zadowolić naszą moralną i umysłową naturę.

POGRZEBY.

SZKIC ETNOGRAFICZNY

PODŁUG GRUBEGO.

II.

Pogrzeby u Chińczyków odbywają się nader wspaniale, nie tyle z miłości ku nieboszczykowi, ile raczej z próżności i zamiłowania w błyskotkach.

Każdy Chińczyk sprawia sobie jeszcze za życia piękną, z drogiego drzewa zrobioną trumnę; ona to stanowi najporządniejszy sprzęt w jego salonie i pokazuje ją chętnie odwiedzającym go znajomym. Rodzice dają swym dzieciom trumnę w dzień ich urodzin w podarku, który te przyjmują z wdzięcznością, jako dowód szczególnej rodzicielskiej miłości.

Skoro dusza uleciała z ciała, wkładają je do trumny i zamykają szczelnie, włożywszy zarazem kawał niegaszonego wapna. Nieboszczyka zatrzymują nieraz przez cały rok w domostwie. W oznaczonych godzinach dnia zbierają się krewni i bliżsi znajomi nieboszczyka, ażeby popłakać.

Mężczyźni zbierają się w tym celu w osobnym pokoju, kobiety w osobnym. Nim się jednak płacz rozpocznie, piją herbatę z apetytem, raczą się fajką, a gawędka toczy się wesoło, jak gdyby się nie wydarzyło nic smutnego. Na dany znak grobowe nastaje milczenie.

Twarze Chińczyków, jakby różczką tknięte czarodziejską, przybierają wyraz wielkiej boleści i żałoby — wszyscy płaczą, szlochają — łzy płyną strumieniem.

Po niejakim czasie wszystko ustaje na znak dany, smutek znika, rozweselają się oblicza, źródło łez wysycha, zjawia się kawa w filiżankach, a błękitnawy dymek tytoniu kłębi się z fajek.

Jakkolwiek każdy Chińczyk umie płakać na zawołanie, to jednak są płaczki pogrzebowe, muzykanci, których na pogrzeby zamawiają, aby uwydatnić wyraz smutku i boleści po stracie nieboszczyka.

Za trumną kroczą płaczki z rozpuszczonym na głowie włosem, w białe odziane szaty płacząc przeraźliwie; tu i owdzie można słyszeć nie arcyharmonijne tony chińskiej muzyki — słowem: krzyk, hałas, ryk i rwetes panuje w orszaku pogrzebowym. Ów huk zmięszany z zapachem prochu odpędza, podług mniemania Chińczyka, złe duchy idące za trumną i czyhające na duszę nieboszczyka.

Chińczycy znają jednak ujemną stronę swych demonów, które są wielkimi pieniędzy miłośnikami. Aby się ich pozbyć, rzucają fałszywe banknoty, które wiatr unosi.

Złe duchy, na szczęście krótkowidze, gonią owe pieniądze bez wartości, tymczasem zaś dusza nieboszczyka może iść śmiało za trumną.

Odpowiednio do stanowiska zmarłego trumnę niesie około dwadzieścia, a nawet więcej osób, a tablica z wypisanemi na niej imionami nieboszczyka i jego przodków, poprzedza trumnę. Białe szaty, w które się orszak pogrzebowy ubiera, muzyka, przyjęcie itd., wszystko to odbywa się kosztem osieroconych. Dokąd zmarły pozostaje w domu, stawiają potrawy przed marami, później zaś stawiają je na grobie.

Bogaci Chińczycy, wyznający religję Konfucjusza, wzywają buddyjskich kapłanów, którzy odprawiają rodzaj żałobnego nabożeństwa.

W przeludnionych Chinach, gdzie wiele biedaków ginie śmiercią głodową, a pozostali nie mogą ponosić wielkich kosztów pogrzebowych, można widzieć wiele trupów niepogrzebanych, leżących na drodze. Wyrzucają ich w pole, na drogę, do rzeki, jak komu dogodniej.

Śmierć nie robi na żyjących żadnego wrażenia, ludzi jest dość... a matki wyrzucają swe dzieci, szczególniej płci żeńskiej, gdzie im się podoba, nie mogąc ich wyżywić.

Hałaśliwe chińskie pogrzeby są zabawką wobec uroczystości pogrzebowych, odbywanych w państwach murzyńskich, zachodniej i środkowej Afryki.

W Dahomeyu zużywają wiele beczek prochu na salwy z muszkietów. Gdy król wyzionie ducha, zabijają natychmiast dwustu niewolników, aby nie był na tamtym świecie bez usługi. Jeżeli zaś umrze żona bogatego albo znakomitego człowieka, natenczas zabijają dwoje dziewcząt. Płaczki, które swe ciało krwią oflar barwią, wraz z hukiem muszkietów, rykiem zebranego ludu i odgłosem trąb, robią hałas niezmierny.

Trzy miesiące trwają takie uroczystości pogrzebowe na cześć nieboszczyka, podczas których zabijają dziennie pewną liczbę niewolników. A ponieważ życie pozagrobowe murzyni wyobrażają sobie jako dalszy ciąg życia ziemskiego, a wolny człowiek nie może się obejść bez służalczej, niewolniczej zgrai, zabijają tedy na grobie jeszcze dwustu niewolników. Do grobu dają księciu jegomości złoto i inne kosztowności wraz z najpiękniejszemi sukniami, krewni zaś i przyjaciele posyłają najpiękniejsze materje do przystrojenia trupa.

Synowie i rodzina wypadają jak szaleni, boleścią miotani w pierwszych dniach na ulice i strzelają do tłumów, aby więcej poległo ofiar. W onym czasie szlachta siedzi spokojnie w domu, wypędzając tylko niewolników na ulice. Nadto wyprawia się także wojsko w kraj sąsiedni, aby pojmanych jeńców następnie zabić.

W Starym Kalabarze (w zach. Afryce) umarł w r. 1847 Cyamba i popłynęły strumienie krwi ofiarnej. Wykopano obszerny grób dla złożenia zwłok, umieszczono króla między dużemi sofami, przepysznie ubranego z koroną na głowie, a w pobliżu niego stawali ci, którzy mu nosili za życia parasol i podawali miecz i fajkę. Prócz tego, stało kilku jego służących.

Ze stu małżonek nieboszczyka zamordowano pierwszej nocy trzydzieści, z których jedna była siostrą króla Eyo-Honesty.

Jeżeli w czasie wyprawy umrze wódz jaki, natenczas wożą jego trupa tak długo ze sobą, dopóki go nie można w ojczystej pogrzebać stronie. Ażeby się zaś ciało nie psuło, wędzą je zwolna nad ogniem.

W ten sposób postępują także z zabitym wodzem wojska nieprzyjacielskiego, aby go w stolicy pokazać publicznie.

Dr. Bastian z podróży swej po murzyńskiem państwie Congo*) przybył do głównego miasta San-Salvador, w czasie bezkrólewia. Król umarł, a ponieważ pogrzeb miał się odbyć dopiero po upływie roku, rządziła więc państwem tymczasowo jego siostra, choć spodziewano się, że syn starszej siostry wstąpi na tron po nieboszczyku. Na wyraźne żądanie turysty, zaprowadził go następca tronu do ciała zmarłego wuja. Na dziedzińcu umarłych, który leżał wewnątrz królewskiego pałacu, stał piękny drewniany dom, a pod werandą, pod baldachimem, urządzono tron bogato rzeźbiony.

Mistrz ceremonji otworzył drzwi od dnia śmierci królewskiej zamknięte. Domostwo to, składało się z trzech pokojów, ozdobionych sprzętami i bronią.

Naprzeciw domostwa (mieszkalnego domu) zbudowano niską chatkę grobową, do której można się było dostać jedynie na czworakach.

Około drewnianej trumny gorzały lampy, cała zaś mumia była okrytą suknami, z pod których można było poznać głowę po leżącej pod nią poduszce.

Tu spoczywał król snem wiecznym uspiony od ośmiu miesięcy.

Jest zwyczajem, że gdy samowładca rozstanie się z tym światem, łamią mu ramiona i golenie, aby dobrze przylgnęły do ciała. Następnie piecze się i suszy ciało nad ogniem, dopóki się płynne części nie ulotnią.

Należycie wysuszone resztki zabarwiają czerwoną gliną, owijają je w jedwabne szaty i wkładają do trumny, nad którą później wznoszą chatkę.

Każdy z pobożnych poddanych królestwa z „łaski Bożej“ przychodzący do chatki, aby odmówić modlitwę za duszę zmarłego, przynosi z sobą kilka łokci sukna, którem się ciało owija.

Ponieważ dzieje się to cały rok boży, objętość trupa potęguje się tak, że należy nową i o wiele większą wybudować chatę.

Po upływie roku żałoby, zakopują to wszystko do grobu pod chatą.

Król jegomość nie potrzebuje się tedy obawiać braku sukien.

Mieszkańcy murzyńskiego państwa Ukanyama (z głównem miastem Nambambi) nie grzebią swoich nieboszczyków, ale wynoszą ich do lasu, i wieszają w siedzącej postawie na drzewach, oddając na łup zwierzętom.

Tylko królowie dostępują zaszczytu pogrzebów. Zwłoki ich składają w głęboki dół, kładą na nie pewną ilość niewolników i zakopują ich żywcem. Następnie usypują mogiłę i składają na niej ofiarę z pewnej ilości zwierząt i ludzi.

Zupełnie tę samą wiarę, że zamordowani usługują na tamtym świecie niewolniczo nieboszczykowi, mają Dajakowie na wyspie Borneo.

W południowej i zachodniej części tej wyspy, był dawniej zwyczaj u większej części pokoleń, że ciała nieboszczyków palono, składano popioły w drewniane naczynia i zakopywano w ziemi. Ponieważ jednak Malajczycy wywarli znaczny wpływ na one pokolenia, przyjęli od nich mieszkańcy nowy zwyczaj i grzebią swoich zmarłych w drewnianych trumnach.

Pokolenia zaś zamieszkujące wschodnią część wyspy Borneo, nie grzebią swych nieboszczyków, jeno budują w lesie rusztowanie, na którem sta-

*) Afrikanische Reisen. Ein Besuch in Salvador. Bremen 1859.

wiają trumnę, a następnie składają ofiary z ludzi, na co używają jeńców pojmanych na wojnie. Gdyby zaś tych zabrakło, natenczas wyruszają gdziekolwiek aby ludzką zdobyć czaszkę i na cześć nieboszczyka powiesić ją we wsi.

Zwyczaj ten zakorzenił się tak dalece, że owa wielka wyspa, wyludniała się w sposób przerażający. Holendrzy starali się ów obrzydliwy zwyczaj wytępić, wszelako istnieje on jeszcze u wolnych Dajaków.

O. Kessel, opowiada nam następujące szczegóły o śmierci i pogrzebie wodza na wyspie Borneo.

Kiedy kapłani spostrzegli że znikła już nadzieja wyzdrowienia, zaczęli bębnić na ogromnych bębnach, wyspiewując przy tem różnorodne formułki zaklęć, aby odpędzić złe duchy. Następnie wniesiono ciało już martwe do przodowej części domu, posadzono na klocu i zabarwiono na żółto sokiem jakiegoś korzenia. Potem przystrojono nieboszczyka w strój okazały: naramienniki, obojczyk z zębów tygrysich, opasano pasem i dano mu w jedną rękę włócznię, w lewą zaś tarczę.

Krewni i sąsiedni wodzowie, przemawiali krótko na cześć zmarłego towarzysza. Po odbytych ceremonjach, wybrał się poczet młodych ludzi do lasu, aby wyrzeźbić z pnia wizerunek zmarłego, jak najwierniej z najdrobniejszymi szczegółami.

Drewniany posąg ozdobiono sukniami trupa, krom broni i odzienia, w które się żyjąc ubierał. Nieboszczyka pogrzebano w drewnianej skrzyni niedaleko domostwa, w ogrodzeniu, a drewniany posąg zajął miejsce honorowe.

Podczas siedmiodniowej uroczystości jedli i pili co się zowie, racząc posąg zmarłego jak oryginał, najlepszymi kąskami.

Po odbytej uroczystości, postawiono posąg w lesie wraz z bronią i sukniami w gronie innych posągów walecznych poprzedników.

Na wyspie Sumatrze, grzebią Battowie swoich nieboszczyków, zabijają świnię i kur kilka na stypę, jeżeli zmarły nie pochodził ze znakomitej rodziny. Pogrzeb odbywa się już dnia czwartego.

Jeżeli zaś umrze człowiek bogaty albo znakomity, natenczas zabijają kilka wołów, a nieboszczyk powinien zabawić stosownie do majątku i stanowiska dwa trzy itd. miesięcy, na tym łez padole. W dzień śmierci wodza sieją ryż, a kiedy dojrzeje, wtedy dopiero odbywa się pogrzeb.

Zanim trumna spocznie na dnie grobu, przystępuje brat, albo krewny nieboszczyka, zdejmuje wieko i mówi: „Popatrz ojcze mój jeszcze raz na słońce, którego już nigdy nie ujrzysz.“

Podług mniemania Ostyaków, trwa nieśmiertelność tylko dwa lub trzy lata, a mianowicie tak długo, dopóki materjalne cząstki nie zniknął. Prez ten czas (wierzą) czuje nieboszczyk wszystkie potrzeby, jak za życia i dla tego, obok grobu stawiają sanki, na których leżą wszystkie przybory do polowania i rybołowstwa potrzebne. Nie brak także kotła, noża, narzędzia do krzesania ognia, ażeby nieboszczyk mógł w razie potrzeby sporządzić sobie obiadek. Od czasu do czasu zabijają rena, kładą na grobie rybę lub suszone mięso, stosownie do godności i stanowiska nieboszczyka, jakie za życia zajmował.

Jeżeli umrze naczelnik rodziny, natenczas sporządzają wizerunek, ile możności podobny do nieboszczyka, który zastępuje miejsce zmarłego dotąd, dokąd przypuszczają, że zupełne zbutwienie ciała nie nastąpiło.

Podczas każdych uroczystości stawiają przed posągiem najlepsze kąski. Wieczorem kładą go na łoże zmarłego, na rano zaś stawiają go w miejscu, które nieboszczyk za życia zajmował.

Po trzech lub czterech latach składają posąg do grobu i wtedy dopiero zmarły uważa się za zmarłego rzeczywiście.

Rzecz dziwna, że Ostyacy nie starają się nadać swoim nieboszczykom dłuższej trwałości, przez zabalsamowanie lub staranne zasuszenie ciała.

Fr. Ksaw. Mroczko.

PANI SOURDI

NOWELLA.

(Dokończenie.)

IV.

Upłynęły lata. Państwo Sourdi kupili w Mercoeur mały domek z ogrodem, wychodzącym na miejskie bulwary. Z początku przyjeżdżali tu na letnie miesiące, chroniąc się przed paryzkim zaduchem i upałami. Lecz potem zaczęli przesiadywać dłużej i powoli odwykli od Paryża. Ponieważ domek był bardzo mały, wybudowali w ogrodzie obszerną pracownię, a wkrótce przystawili do niej całe skrzydło. Teraz jeździli do Paryża na zimę na dwa miesiące. Mieszkali w Mercoeur, a w Paryżu mieli tylko niewielkie *pied-a-terre*, przy ulicy Clichy, w należącym do nich domu.

Przeniesienie się na prowincję odbyło się powoli i gdy w obecności Adeli dziwiono się temu, usprawiedliwiała się stanem zdrowia Ferdynanda. Według niej, myślała tylko o tem, ażeby mąż miał spokój i używał świeżego powietrza. Lecz prawdę powiedziawszy, spełniała dawne życzenie, urzeczywistniała ostatnie swoje marzenia. Jeszcze dziewczęciem, marząc o sławie, w myślach swych dokonywała życia opromieniona sławą w Mercoeur, otoczona szacunkiem jego obywateli. Tam się urodziła, tam gryzł ją robak ambicji i dumie jej bardziej pochlebiały zadziwione spojrzenia kumoszek w Mercoeur, gdy je mijała pod rękę z mężem, aniżeli komplementa, składane jej w salonach Paryża. W głębi duszy pozostała mieszczką i parafjanką, i najbardziej ją obchodziło to, co myśli i mówi o niej jej rodzinne miasteczko.

Obecnie imię Ferdynanda de Sourdi bardziej już zasłynąć nie mogło. Malarz, doszedłszy lat piędziesięciu, otrzymał wszystkie nagrody, wszystkie medale, ordery i tytuły. Był już od kilku lat komandorem legji honorowej, akademikiem. Tylko majątek jego mógł jeszcze rosnąć, chociaż gazety wyczerpały już cały słownik pochwał.

Od dziesięciu lat urobiła się dla niego zwyczajna pochwalna formułka: nazywano go: płodnym mistrzem, czarodziejem, władnącym nad duszami. Lecz to go już nie wzruszało; stał się obojętnym i mówił o sławie, jako o starym fraku, do którego przywykł.

Gdy obywatele Mercoeur widzieli, jak przechodził koło nich zgarbiony, z zamglonemi oczyma, niezwracający na nic uwagi — to do szacunku, z jakim na niego patrzyli, mięszało się zdziwienie: nie mogli sobie wyobrazić, jak taki pan zwiędły i cichy, mógł tyle wrzawy narobić w stolicy.

Zresztą wszyscy wiedzieli, że pani Sourdi pomaga mężowi. Uchodziła za herod-babę, pomimo że była mała i gruba. I nawet obywatele mało się dziwili, że taka ciężka kobieta może po całych dniach stać przed obrazami, nie czując znużenia. Rzecz przyzwyczajenia, rozumowali mieszczanie. Współpracownictwo żony nie czyniło wcale ujmy Ferdynandowi w w oczach świata; przeciwnie, Adela z właściwym jej taktem zrozumiała, że nie powinna otwarcie zaćmiewać męża; on zawsze podpisywał się na obrazach, jak król konstytucyjny, który panuje, ale nie rządzi. Bezwątpienia obrazy pani de Sourdi nikogoby nie zachwyciły, gdy tymczasem utwory Ferdynanda de Sourdi zachowały dawny urok dla krytyki i publiczności. Dlatego też ciągle zachwycała się Ferdynandem i, rzecz dziwna, zachwyt jej był szczery. Chociaż powoli przestawał nawet dotykać się pędzla, zawsze patrzyła na niego jako na prawdziwego twórcę obrazów, które teraz malowała prawie całe sama. Do odwiedzających ją mówiła: »Ferdynand zrobił to, Ferdynand pracuje nad tem», chociażby nawet Ferdynand nie dotykał się do obrazu. Każda uwaga krytyki gniewała ją, gdyż nie przypuszczała, ażeby można było krytykować talent jej męża. To naiwne zaślepienie, to niczem niezachwiane uwielbienie dla Ferdynanda, jako dla artysty, pomagało mu znosić przykre uczucie własnej bezsilności. Nie cierpiał w swoim upadku, on także mówił »mój obraz, moje utwory», ani myśląc o tem, jak malują się obrazy, na których się podpisywał. I wszystko to robiło się tak naturalnie, że mu nie przychodziło nawet do głowy zazdrościć kobiecie, która mu odebrała indywidualność; zawsze ją chwalił. Wiecznie powtarzał to samo, co raz, wieczorem, powiedział do Rennequin'a. — Przysięgam ci, że ona zdolniejsza odemnie... mnie diablo trudno uporać się z rysunkiem, a ona rysuje jak gdyby nic... z lekkością uderzającą... O, nie masz wyobrażenia o jej mistrzostwie. Nie, to stanowczo zdolność wrodzona, to po prostu leży we krwi człowieka... — Słuchacze skromnie się uśmiechali, wyrazy te biorąc za komplementa zakochanego męża. Lecz gdy ktokolwiek nieostrożnie odezwał się, że przy całym szacunku dla pani Sourdi, nie wierzy w jej artystyczny talent, Ferdynand unosił się, zaczynał obszerny wykład o temperamentach i manierach w malarstwie, i kończył spór zawsze tym samym okrzykiem:

— Mów że tu komu, że ona zdol-

niejsza odemnie! Jak Boga kocham, dziwna rzecz, że mi nikt nie wierzy.

Mąż i żona żyli bardzo zgodnie. Z upływem czasu, lata i upadek sił, utemperowały Ferdynanda. Nie mógł już więcej pić, albowiem żołądek jego rozstrajał się od najmniejszej niewstrzemięźliwości. Tylko kobiety jeszcze zwracały go czasem z drogi prawdy. Lecz gdy para osiedliła się w Mercoeur, to dla braku sposobności do zdrady, prawie nie zdradzał żony. Adela mogła się tylko obawiać chyba o służące. Chociaż starała się dobierać same brzydkie, nie przeszkadzało to jednak Ferdynandowi zaczepiać je, jeżeli na to pozwalały. Żonie pozostawało tylko wypędzanie służącej, gdy uważała, że rzecz jest nieładna. Ferdynand z tydzień po takim wypadku chodził ze spuszczonym nosem. I tym sposobem podtrzymywał się w nich płomień miłości, nawet na starość. Adela, jak dawniej, ubóstwiała męża, a on, gdy groźnie milczała po każdem przejściu ze służącą, starał się udobruchać ją wszelkiemi sposobami. Bardzo już podupadł, twarz jego pożółkła, i poorała się głębokiemi zmarszczkami. Lecz broda zachowywała jeszcze ciągle złocisty odcień; z latami nie siwiała, lecz żółciała, i kształtem swoim dawała mu podobieństwo do flamandzkich panów, z których zdejmował portrety Wandyk.

Nastąpił dzień, gdy Ferdynand nagle sprzykrzył sobie malarstwo. Doświadczał jakby fizycznego wstrętu do zapachu farb; ręce mu drżały, w głowie się kręciło. Prawdopodobnie było to naturalne następstwo jego artystycznej bezsilności, która przeszła w stan ostry. Musiała ona skończyć się bezsilnością fizyczną. Adela była dla niego bardzo dobrą; pocieszała go, przekonywała że to było nieusposobienie czasowe, które powinno przejść, i przymusiła go do bezwarunkowego spokoju. Ponieważ dręczyła go myśl, że wcale już nie pracuje nad obrazami, znalazła wyjście. Wymyśliła, że on będzie rzucał szkice obrazów ołówkiem, a ona przenosić je będzie na płótno i malować według jego wskazówek. Od tej chwili tak się też i robiło; Ferdynand już zupełnie nie dotykał obrazów, które podpisywał swojem imieniem. Adela wypełniała całą materialną część roboty; on tylko obmyślał treść i kreślił szkice ołówkiem, często liche i nieudolne, które poprawiała, nie mówiąc ani słowa. Oddawna już pracowali dla cudzoziemców. Po wielkiem powodzeniu otrzymanem we Francji, nadeszły zamówienia głównie z Rosji i z Ameryki; a że amatorowie tych stron dalekich nie byli wybredni i rzecz cała polegała na opakowaniu i wysyłce skrzynek, to państwo Sourdi, powoli, oddali się wyłącznie tym korzystnym tranzakcjom. Do tego we Francji obrazy jego rozchodziły się daleko wolniej. Gdy od czasu do czasu Ferdynand posyłał obraz na wystawę, krytyka odzywała się o nim z dawnemi pochwałami. Był on talentem uznanym, ksórego już nie zaprzeczano, tak, że mógł powoli zejść do utworów miernych i banalnych, bez poruszenia przyzwyczajeń publiczności i krytyki. Tylko że kupujący powoli odstręczali się od jego utworów. Nie przestawano go uważać jako współczesnego mistrza, ale obrazów jego nie kupowano. Cudzoziemcy zabierali wszystko, co namalował.

W tym roku wszakże jeden obraz Ferdynanda de Sourdi znowu zrobił wielką furorę na wystawie. Było to jakby *pendant* do pierwszego jego obrazu »Spacer«: w pustej sali o rzeźbionych ścianach uczyli się studenci, gonili wzrokiem latające muchy, pocichutku dokazywali, a guwerner, zagłębiony w czytaniu romansu, zdaje się, zapomniał o całym świecie. Obraz nazywał się »Klasa«. Uznano go za cudowny, i krytycy porównywali oba utwory, które przedzielał trzydziestoletni okres czasu, i rozumowali o przebieżonej drodze, o niedoświadczeniu widocznem w »Spacerze« i mistrzowskiej technice, wykazanej w »Klasie«. Jednakże większość artystów protestowała, a Rennequin głośniej od innych. Był już bardzo stary, lecz żwawy jeszcze jak na siedemdziesięcio letniego starca, i zawsze namiętny wielbiciel prawdy.

— Dajcież pokój — wołał — Ja kocham Ferdynanda jak syna, lecz nie ma sensu dawać pierwszeństwo teraźniejszym jego robotom przed młodzieńczemi. W nich nie ma już ani ognia, ani siły, ani oryginalności. O, lepiej są namalowane, technika lepiej wykończona — zgoda! lecz trzeba być mydlarzem, ażeby przenosić tę banalną technikę, zaprawioną jakąś dziwną mięszaniną wszystkich stylów na świecie... Nie, to nie mój Ferdynand maluje te rzeczy...

Ale nie dopowiadał reszty. Sam wiedział dobrze istotę rzeczy i w jego goryczy uwidoczniała się głęboka nieprzyjaźń, jaką zawsze czuł dla kobiet, tych szkodliwych stworzeń, jak je nazywał czasami. I tylko gniewnie powtarzał:

— Nie, to nie on maluje... nie, to nie on maluje...

Rennequin śledził powolne wtargnięcie Adeli do państwa męża z ciekawością obserwatora i analityka. W każdym nowym obrazie uważał najdrobniejsze zmiany, rozróżniając robotę męża i żony, widząc, że pierwsza zmniejszała się w porównaniu z drugą, w regularnym i stałym stosunku. Ta historja zdawała mu się tak interesującą, że zapomniał o swoim gniewie, pojąc się grą namiętności, jak człowiek namiętnie lubujący się widokiem życia. Uważał na najlżejsze oznaki pochłaniania człowieka przez człowieka i teraz dopiero pojął, że psychologiczny i fizjologiczny dramat spełnił się. Rozwiązanie było przed jego oczami: w obrazie »Klasa« widział, że Adela połknęła Ferdynanda! Skończony bal.

I oto, jak zwykle w czerwcu każdego roku, Rennequin postanowił pojechać na kilka dni do Mercoeur. Zarazem, od dnia wystawy, uczuwał wielką chęć zobaczyć męża i żonę. Tam będzie miał sposobność przekonać się o gruntowności swoich przypuszczeń.

Gdy przyszedł do państwa Sourdi, dzień był gorący i ogród drzemał w cieniu drzew. Wszystko, zaczynając od domu, a kończąc na grządkach z kwiatami, odznaczało się czystością, mieszczańską regularnością, okazującą porządek i spokój. Gwar miejski nie dochodził do tego samotnego kącika, pszczoły brzęczały w różowych krzakach. Służąca oznajmiła gościowi że pani w pracowni.

Otworzywszy drzwi, Rennequin zobaczył Adelę malującą stojąco, w tej samej pozycji, w jakiej zastał ją po raz pierwszy, kilka lat temu. Lecz teraz już się nie zmięszała. Lekko krzyknęła i chciała położyć paletę. Lecz Rennequin zawołał:

— Odejdę, jeżeli ci przeszkadzam... co u licha! uważaj mnie za przyjaciela. Pracuj sobie, pracuj.

Nie sprzeczała się, jako kobieta znająca wartość czasu.

— Ha, jeżeli pan pozwolisz... Pan wiesz, roboty — zawsze huk.

Pomimo lat, pomimo ciągle zwiększającej się tuszy, Adela zawsze pracowała szybko, i z niezwykłą pewnością ręki. Rennequin z minutę patrzał na nią, potem zapytał:

— A Ferdynand? nie ma go?

— Jak to? jest tutaj: ot tam, odpowiedziała Adela, wskazując końcem pędzla na róg pokoju.

Rzeczywiście, Ferdynand leżał na kanapie i spał. Głos Rennequina obudził go; lecz nie poznawał malarza, z ciężkością zbierając myśli.

— Ach! to ty... co za przyjemna niespodzianka — powiedział nareszcie.

I słabo ścisnął mu rękę, usiłując podnieść się ze swego łoża. Poprzedniego dnia, żona złapała go na zwykłej swawoli, tak, że teraz był bardzo potulny, niewiedząc jakby zasłużyć na przebaczenie. Rennequin nie spodziewał się znaleźć go tak wyczerpanym i rozbitym. Tym razem upadek był zupełny i stary mistrz poczuł silny żal nad biednym człowiekiem. Pragnąc zobaczyć, czy nie uda mu się wzbudzić w nim choć cokolwiek dawnego ognia, Rennequin opowiedział mu o powodzeniu »Klasy« na ostatniej wystawie.

— A, mój kochany, zawsze jeszcze poruszasz tłumy... O tobie mówią nie mniej jak wprzódy.

Ferdynand błędnie spojrzał na niego. Potem ażeby powiedzieć cokolwiek, dodał:

— Wiem, Adela czytała mi dzienniki. Obraz mój udał mi się, prawda? O, ja pracuję, bardzo pracuję. Lecz zapewniam cię, że ona mocniejsza odemnie, djablo silna w malarstwie.

I mrugnął koiem pokazując z uśmiechem na żonę. Adela zbliżyła się, wzruszyła ramionami jak poczciwa kobieta i rzekła:

— Nie słuchaj go pan. Znasz pan jego oknika. Wierząc mu, uchodzić bym mogła za wielkiego artystę. Pomagam, ale bardzo nieszczególnie. Zresztą niech się bawi.

Rennequin milcząc śledził tę komedję, którą odgrywali jedno przed drugiem, zapewne w dobrej wierze. Wyraźnie widział, że Ferdynand jest kompletnem zerem w tej

pracowni. Zaprzestał nawet szkiców ołówkiem, nie czując potrzeby dbać o swoją indywidualność chociażby zapomocą kłamstwa; zadawalniał się rolą męża. Treść obmyślała, narzucała szkic i malowała Adela, nie radząc się nawet Ferdynanda; tak przejęła się rolą artysty, że grała ją dalej i nikt by nie mógł wskazać chwili, w której spełnił się ostateczny przełom. Teraz pracowała sama, i w tej kobiecej indywidualności zaledwie dała się dojrzeć cecha dawnej indywidualności męzkiej.

Ferdynand poziewał.

— Zostaniesz na obiedzie, prawda? — powiedział — O, zmęczyłem się... Rozumiesz to, Rennequin? nic nie robię a jestem kompletnie zmęczony.

— Nic nie robi, tylko pracuje cały dzień — odezwała się Adela. — Nigdy mnie nie chce posłuchać i porządnie wypocząć.

— To prawda — odparł Ferdynand — odpoczynek osłabia mnie, potrzebuję ciągłej pracy.

Wstał i usiadł przy stoliczku, przy którym jego żona niegdyś malowała akwarele. I zaczął oglądać arkusz papieru, na którym były narzucone kontury. Był to zwykły, pensjonarski rysunek, strumień, na nim młyn, obok grupa topoli i stara wierzba. Rennequin, pochylony nad nim, uśmiechnął się z dziecinnej nieznajomości rysunku i doboru farb, z tej nieledwie komicznej bazgraniny.

— Na to... zeszło — tylko co nie powiedział.

Lecz zamilkł, ujrzawszy wymowny wzrok Adeli. Pewną ręką, narzucała szkic drzewa.

— Prawda, że to ładne? — pobłażliwie powiedział Ferdynand, oglądając dalej papier, z miną roztropnego chłopczyka — Wiesz, ja teraz robię tylko szkice. Rennequin stał jak piorunem rażony. Teraz... Ferdynand malował akwarelle.

KONIEC.

Kolonja polska w Rumunji.

Mało który kraj w Europie okazał się tak gościnnym dla Polaków — jak Rumunja.

Nie wypłynęło to wszakże z zasad lub sympatyj politycznych.

Rumunja stała otworem dla wszystkich, sąsiedztwo zaś z jednej strony cesarstwa rosyjskiego, z drugiej Galicji, przesiedlanie się Polaków do Rumunji wielce ułatwiało.

Rumunja była krajem młodym, surowym, bez wykształcenia politycznego i społecznego; żywioł napływowy, z jakim takim kapitałem wiedzy wzmagał jej zasoby intelektualne i ekonomiczne.

Rumuni radzi byli cudzoziemcom, a rządy hospodarów z chęcią czyniły im wszelkie ułatwienia, zachęcając w ten sposób do osiedlania się w kraju.

Po wstąpieniu na tron księztw połączonych księcia Kuzy, okoliczności sprzyjające osiedlaniu się Polaków w Mołdawji i Wołoszczyznie, znacznie się wzmogły.

Najprzód wiadome są powszechnie osobiste sympatje, jakie ten książę dla rodaków naszych żywił; następnie pod jego rządami Rumunja po raz pierwszy znalazła się na drodze szerszego rozwoju ekonomicznego.

Faza ta musiała jednocześnie otworzyć daleko łatwiejsze pole dla działalności indywidualnej każdego z osiadłych cudzoziemców; kraj potrzebował sił, któreby mógł jako tako zużytkować, a nie znajdując ich pomiędzy swoimi, rekrutował z szeregów obcych przybyszów.

Z tej też to epoki najwięcej rodaków naszych osiedliło się w Rumunji i dało początek istnieniu kolonji polskiej, która w świetnych czasach swego istnienia do bardzo poważnej liczebnie cyfry dochodziła.

We wszystkich stosunkach ekonomiczno-państwowych Polacy zajęli wybitne miejsca: lekarzami, aptekarzami, inżynierami, architektami byli wszędzie ludzie polskiego pochodzenia; zajęli oni znaczną część urzędów publicznych, a z chwilą przeprowadzenia pierwszej linji drogi żelaznej wyższa i niższa administracja znalazła się z małemi wyjątkami w ich ręku.

Niemniej też przemysł i handel otworzył szeroki przystęp dla obcych przychodniów.

Do dziś dnia istnieje w Rumunji bardzo poważnych kilka firm polskich, drobny zaś przemysł, szczególnie w Mołdawji, znalazł się całkowicie w posiadaniu izraelitów, przybyłych z Galicji i zachodnio-południowych gubernij rosyjskich, używających z łatwością języka polskiego.

Okoliczności wszakże szybko się zmieniły, a zmiana ta oddziałała też nieprzyjaźnie i na byt kolonji w Rumunji.

Z widowni politycznej zszedł książę Kuza — o ile zaś narodowość rumuńska wyrabiać się zaczęła, a system wykształcenia i oświaty uzdalniał większą liczbę obywateli, tem mniej przychylnem okiem poczęto patrzeć na cudzoziemców, aż doszło nareszcie do prawdziwej przeciwko nim krucjaty, którą szczególnie tchnie duch partji tak zwanej „narodowo-demokratycznej", objawiający się najwybitniej w ustawach stowarzyszenia p. n. „Heliadista".

Krucjata ta nie jest wyłącznie wymierzoną przeciwko Polakom, zamieszkałym w granicach księztwa rumuńskiego, niemniej przeto, nie wyłączając ich z pod ogólnego prawidła, utworzyła i przed nimi silną bardzo zaporę, która zmienia zupełnie dotychczasowe pomyślne warunki ich bytu.

Ruch narodowy coraz staje się w Rumunji silniejszym, a pierwszym jego objawem: absolutne dążenie do wykluczenia wszystkich cudzoziemców od piastowania krajowych urzędów.

Że zaś kwestja równouprawnienia żydów, osiadłych w Rumunji, podniesiona jeszcze przez kongres berliński, wywołała uchwałę izb, iż ten tylko może być uważanym za Rumuna, kto lat dziesięć przemieszkał w kraju, a nadto o naturalizację starał się osobiście przez wniesienie odpowiedniej petycji, wszyscy cudzoziemcy z bardzo małym wyjątkiem znaleźli się po za obrębem praw przysługujących krajowcom i dopiero po upływie wyż oznaczonego terminu mogą być postawieni na równi z obywatelami miejscowymi.

Ztąd też mnóstwo techników i ludzi specjalnie wykwalifikowanych, którzy po dziś dzień zajmowali posady i pełnili obowiązki urzędowania, na raz pozbawionych zostało kawałka chleba i możności użytecznej pracy.

Karty się zmieniły; Rumunja przestała być nadal gościnnym krajem, przestała też i nęcić ku sobie cudzoziemców łatwością pracy i zarobkowania.

W dwóch głównie punktach Mołdawji i Wołoszczyzny osiedlali się Polacy; temi punktami były: Jassy i Bukareszt.

Wprawdzie z następstwem czasu rozproszyli się oni i po innych częściach kraju, wszakże dwa te miasta były zawsze ogniskiem grupującem około siebie większość i utrzymującem pomiędzy nią charakter i łączność narodową.

Bukareszt jednak zwolna utracił tę cechę; zanadto był miastem ruchliwem, stołecznem, aby jaki partykularyzm narodowy mógł w niem odrębny charakter dłużej utrzymać.

Kolonja polska w Bukareszcie malała powoli, rozpraszając się coraz bardziej, aż doszła do nic nieznaczącej liczebnie i moralnie siły.

Do roku zeszłego istniał tam niby klub polski: była mała bibljoteczka, czytelnia, utrzymywano wszystkie gazety, lecz czuć było, iż zorganizowanie tego kółka jest sztuczne, nie wypływa z istotnej potrzeby, i że lada chwila rozchwiać się zupełnie musi — co też zdaje się już nastąpiło.

Bukareszt liczy dziś jeszcze do dwóchset Polaków; wielu z nich jednak poprzemieniało swe nazwiska, dodając do nich końcówkę rumuńską, wielu złączyło się węzłem pokrewieństwa z rodzinami rumuńskiemi, a wielu jest i takich, których dzieci słówka po polsku nie rozumieją.

Za to w Jassach żywioł polski zorganizował się daleko silniej i poważniej; przyczyniła się do tego większa liczba Polaków w Mołdawji zamieszkałych, sąsiedztwo Galicji, obsadzenie kolei czerniowiecko-rumuńskiej przez sporą liczbę urzędników Polaków i wiele innych warunków.

Warunki te wyrobiły tam opinję publiczną o duchu narodowym; opinja ta ma swój walor, wszyscy się z nią rachują i przez to samo, choć zamieszkali na obcej ziemi, czują się zawsze w swojej skórze i tę nosić pragną.

Kiedy w Wołoszczyznie Polacy przedstawiają w większości proletarjat napływowy, w Mołdawji są to przeważnie ludzie osiadli, prowadzący porządne gospodarstwa rolne, uprawiający przemysł, handel, wzrośli w zamożność i niezależne stanowisko.

Kolonja w Jassach wytworzyła bardzo porządny regulamin stowarzyszenia, posiada liczną bibljotekę, z której użytkują nietylko w mieście, ale i na prowincji zamieszkali członkowie, ma kasę wspólnej pomocy, zasobną w dość znaczne fundusze, a nareszcie założyła, co najważniejsza, własną szkółkę, w której, ucząc się rodowitego języka, pobierają początkowe wychowanie dzieci wszystkich rodzin polskich.

Kilkaset rodzin polskich rozrzuconych w różnych stronach Mołdawji składa tę kolonję; dzięki zapobiegliwości i uczciwym usiłowaniom, trzyma się ona łącznie, wspomagając się i podtrzymując wzajemnie.

Choć więc zmiana usposobień i kierunku w rządzie rumuńskim przyniesie zapewne dotkliwą ranę i Polakom zamieszkałym w Mołdawji, solidarność, jaką są związani, przyjdzie im z pomocą w wielu razach i wyratuje od zupełnego rozbicia i upadku.

Kronika Tygodniowa.

Gdy dojdzie rąk waszych, na niebie już błyśnie gwiazdka, zwiastująca rozpoczęcie prastarej, a tyle serdecznej uroczystości, jaką jest wigilia. Nie pytam się o pozwolenie zawitania do waszych progów, szanowni czytelnicy. Nieznany wam osobiście, a znany jako kronikarz Tygodnia, idę śmiało z opłatkiem w ręku i niosę każdemu z osobna i wszystkim zgromadzonym przy familijnym stole nasze staropolskie i zawsze serdeczne życzenia „Dosiego roku". A tu, obok, pod drzwiami bawialnego pokoju, uwija się niecierpliwa dziatwa, czekając i podpatrując, kiedyż tam te drzwi otworzą. — Otworzyli! Łuna rzęsisto oświetlonej i wspaniale przybranej choinki buchnęła na pokój... Jaka to radość, jaki krzyk podziwu, jakie klaskanie w rączki. Usteczka otwarte jak bramy gościnnego domu, oczka błyszczą jak gwiazdki na niebie, a rączkom tak się chce dotykać tylu cudownych cudowności, wiszących na zielonych gałązkach, że w tej chwili, choćby człowiek był z kamienia, a w tym kamieniu mieszkała sama tylko gorycz — zadrży z rozrzewnienia i łzą serdecznych wspomnień zrosi poważne oko... Ta jedna chwila szczęścia dziecięcego wieku — to nasze własne czarodziejskie zwierciadło zapylone, zarzucone, drapane przez tyle lat życia — a jednak w ten dzień odzyskujące dawniejsze swoje własności... Kiedy, gdzie, jak to było — a jednak było; bo tam w zakątku skołatanego serca tkwi jego wizerunek i człowiek na tę jedną chwilę staje się znów dzieckiem — zapomina lata i klaszcze z radości w dłonie — i jest szczęśliwy!..

Otoż, kochani czytelnicy, bodaj wam takie szczęście, przy którem znikają kłopoty codziennego życia, zdarzało się jak najwięcej doświadczać w tym roku! Bądźcie z uczucia i serca dziećmi, a z rozumu i woli — mężami. Mimo wszelkich nawoływań do trzeźwości, mimo uporczywych walk, jakie dziś przychodzi nam staczać o każdy kawałek chleba, chleb ten daleko lepiej smakować będzie, gdy go spożywać przyjdzie na łonie kochającej i kochanej rodziny... Co w świecie zziębło, co zardzewieje, powiedział kiedyś Pol, tam się odświeży, tam się ogrzeje, nabierając nowych sił do dalszych zapasów... A rodziną dla nas jest także wielka ojczyzna nasza!... Niech więc każdemu i ciepło i swojsko i serdecznie będzie w tej drogiej ojczyźnie... Przyjdzie chwila, że kiedyś, jeżeli już nie nam, to tym klaskającym w rączki dzieciom naszym, zabłyśnie gwiazda narodzenia, przy której zbierze się cały naród, jak jedna rodzina, i rozraduje duszę tęskniącą — i ogrzeje serca, czekające już drugie stulecie... Bodaj więc jak najprędzej ta gwiazda zeszła!

Wobec takich uczuć i przygotowań do obchodu świąt Bożego Narodzenia, wszelkie nowiny tygodnia ubiegłego na drugi plan zeszły. O jednej wszakże zapomnieć nie możemy, to jest o wyjściu zbioru pieśni narodowych i patrjotycznych wraz z melodjami pod napisem „Spiewnik Narodowy". Zasługa tego wydawnictwa należy się p. J. Horoszkiewiczowi, który w pięćdziesięcioletnią rocznicę powstania narodowego, nie mógł droższego upominku ofiarować rodakom. — My starsi, wychowani i wykołysani na tych pieśniach, powitaliśmy je jako głos starej przyjaciółki, niańki nachylonej nad kolebką naszą... jako głos matek i ojców, wychodzący z za grobu... Nie można tej książki wziąść do ręki bez rozrzewnienia, nie można słuchać tych melodyj bez drżenia serca. Niechże więc i dzieciom naszym brzmi dalej ta sama nuta, niech ożywia i zapala ich ducha, zostawiając tam posiew miłości ojczyzny i czci dla bohaterskich czynów jej obrońców!

* * *

Czytelnicy nasi przypomną sobie, że z powodu konfiskaty przez c. k. prokuratorję Nru 44. „Tygodnia," rozesłaliśmy im drugi nakład z opuszczeniem inkryminowanych ustępów odezwy komitetu węgierskiego, w sprawie składek na Album poświęcone pamięci Bema. Otóż w tych dniach, mianowicie 18. grudnia r. b. odbyła się rozprawa publiczna w tej sprawie przed trybunałem 1ej instancji we Lwowie. Nie chcąc w tym przedmiocie bliżej nas obchodzącym być własnej sprawy rzecznikiem, posiłkujemy się sprawozdaniem „Gazety Narodowej" z dnia 22. grudnia, aby zaspokoić ciekawość czytelników, jaki osiągnęliśmy rezultat:

„Redaktor czasopisma *Tydzień Polski* p. M. Biernacki sprzeciwił się zarządzonej konfiskacie *Tygodnia* z dnia 31. października, za zamieszczoną tamże odezwę komitetu węgierskiego w sprawie składek na „Album" poświęcone pamięci jen. Bema. Jak wiadomo, wydawnictwo „Album" miało na celu przyjście z pomocą materjalną żyjącym jeszcze dwom siostrom ś. p. Bema, to też był między innemi ustęp następujący, który skonfiskowano na podstawie §. 305 u. k: „Tak łącząc z pietyzmem dla wielkiego jenerała czyn miłosierdzia dla biednych sióstr jego, z jednej strony uwiecznimy pamięć nieśmiertelnego polsko-węgierskiego bohatera wolności pomnikiem a zarazem z drugiej strony osuszymy łzy niedoli żyjącej w niedostatku rodziny."

Po przemówieniu zastępcy prokuratora, który uczynił niemotywowany wniosek o zatwierdzenie konfiskaty, zabrał głos znany satyryk p. Biernacki: „Raził zapewne c. k. Prokuratorję wyraz „bohater wolności", dany jenerałowi Bemowi, który bił się przeciw Austrji — a wszak i Fryderyka Wielkiego i Napoleona I, którzy także bili wojska austrjackie — co niewątpliwie jest czynnością przez ustawy zakazaną (wesołość) — nazywamy bohaterami, i za to nikt do odpowiedzialności nie jest pociąganym."

Po krótkiej przemowie odbył trybunał jeszcze krótszą naradę i ogłosił wyrok, że konfiskata się znosi, gdyż nie ma znamion wykroczenia z § 305 u. k. Zachwalania czynów jenerała Bema, tak brzmiały motywa wyroku — nie można wobec dzisiejszego ustroju państwowego uważać za pochwalanie czynności przez ustawę zabronionych. Artykuł inkryminowany nazwał Bema bohaterem wolności, a wolność wszystkim narodowościom przez konstytucję nadaną została.

Dość liczne audytorium przyjęło wyrok ten oklaskami."

Pracownia rzeźbiarska

p. Tadeusza Błotnickiego.

Byliśmy w pracowni p. Tadeusza Błotnickiego. Od czasu kiedy odwiedzaliśmy ją po raz ostatni, t. j. od chwili, kiedy młody artysta kończył, „Świteziankę", wielie się w niej zmieniło; na stołach i półkach w nieładzie artystycznym stanęły szkice modelowane, które dowodzą ciągłej pracy umysłowej, świadczą o bezustannem ćwiczeniu sił swoich, a wreszcie o studjach sumiennych z natury. Ale praca ta umysłowa i studja, wynik wewnętrznego rozwoju talentu nie obchodzą publiczności aż do czasu, póki się nie odbiją na dziełach istotnych sztuki, co wystawione na widok przechodzą niejako na własność publiczną. Dzieł takich obecnie spotkaliśmy kilka w pracowni p. Błotnickiego, byliśmy bowiem w czasie, kiedy kończyła się robota około „Anioła Smutku", przeznaczonego na statuę nadgrobną, kiedy modelowany z gliny Pius IX był już ukończony, kiedy piękna kompozycja „Lilla Weneda" była prawie gotowa. „Anioł Smutku" miał stanąć na cmentarzu w Brzeżanach, na grobie małżonki autora „Miodowych miesięcy" p. Madejskiego. Wysoki piedestał miał stanowić jego podstawę. Dotąd trudno nam z czystem sumienem zawyrokować o proporcjach figury, które na wzniesieniu zupełnie inaczej przedstawiać się będą. Do ocenienia pozostaje nam więc tylko wyraz twarzy i cała poza figury. Wyraz smutku wydawał się nam niedość silnie namarkowany w obliczu, czytaliśmy w niem więcej zmęczenia, niż smętku, który w pełni odbił się dopiero na schylonej Anioła postaci. Ułożenie jej ma w sobie wiele charakterystycznego wyrazu, wiele natury, ale niemniej wdzięku i powabu, co, zważywszy tę okoliczność, że poza podobna należy do niełatwych zadań artystycznych, pochlebnie świadczy o zdolnościach i studjach młodego rzeźbiarza. O staranności jego i sumienności, świadczą niemniej drobne szczegóły, akcesorja. U stóp „Anioła smutku" w dwóch miejscach rzucone z wdziękiem kwiaty są wykończone pięknie i dokładnie. Jestto drobnostka, ale drobnostki należą także do całości, a kto dba o nie ten musi mieć szczerą miłość i szacunek dla sztuki.

Obok „Anioła Smutku" stoi na podniesieniu olbrzymia figura Piusa IX. Przeznaczona do kościoła św. Jura, ma ona stanąć naprzeciw ambony — kroksztyn, który stanowić będzie jej podstawę, jest nawet według warunków konkursu dokładną kopją postumentu ambony — architektura barokowa, która na kroksztynie odbiła się sztucznemi zwojami linji żądała, aby figurę papieża zastosować do jej wymagań. Artysta zrozumiał dobrze tę potrzebę. Jego Pius ubrany w szatę fałdzistą, której draperje szeroko się rozwiały, nie zginie w olbrzymiej świątyni św. Jerzego, i wśród pretensyonalnej ornamentyki barokowej potrafi zwrócić uwagę widza na siebie. Pius IX w pontyfikalnym stroju, w tyarze usiadł na krześle i ręką błogosławi lud. Jego twarz pełną dobrotliwości krasi uśmiech łagodny, z jakim przyzwyczailiśmy się widzieć go na wszystkich niemal portretach. Poza ta wybornie oddana, „en face" i profil zarówno dobrze się przedstawiają, w całej postaci jest powaga zastępcy św. Piotra i dobrotliwość ojca kościoła, dwie charakterystyczne cechy, jakie uderzyły z pewnością każdego, kto

raz tylko spojrzał na wizerunek Piusa IX. Dzieło to p. Błotnickiego będzie ozdobą ruskiej katedry.

Nakoniec zostawiliśmy sobie Lillę Wenedę. Kompozycję tę piękną czytelnicy „Tygodnia“ niedługo zapewne będą mieć w rękach i sami się przekonają o jej zaletach. Olbrzymi dramat zwycięstwa i klęski, na którego przedstawienie zaledwie podobny Słowackiemu genjusz mógł się porwać, nie jest i dla rzeźby łatwym tematem. Uchwycić jej trudno i oddać całą szeroką i potężną ideę poematu, na którą składa się tyle rozmaitych szczegółów, ale i to, co w plastyce możliwe do przedstawienia trudne jest bardzo do oddania. W twarzy, która może objąć zaledwie kilka figur głównych i w nich myśl dramatu przedstawić nie łatwo wyrazić to, co stanowi podstawę główną „Lilli“, i nie łatwo figur tych kilka połączyć tak, aby one stanowiły całość w sobie skończoną. Czy się to artyście udało, wkrótce szersza publiczność osądzi, my powiemy teraz jeno tyle, że z postaci wielkich dramatu umiał p Błotnicki wybrać najważniejsze, że śliczną jest bohaterka dramatu Lilla grająca na arfie, umieszczona w środku tarczy, że pełnym siły i ognia jest ruch i poza Rozy Wenedy, którą przedstawił młody rzeźbiarz jako wiedźmę z pochodnią w ręku, że.... ale dość tych opisów, wszak niedługo ciekawość wszystkich będzie zaspokojona.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Wł. Tad. Kisielewski. Książęta Czartoryscy i ich reforma na sejmie 1764 roku. Sambor 1880. Nakładem autora str. 302 i III.

Kto tylko uważnie śledził prace historyków naszych, w czasie ostatnich lat dwudziestu, i rozwój, jakiemu uległo dziejopisarstwo tego okresu, spostrzedz musiał, że największa ilość dzieł historycznych, wzięła sobie za cel zbadanie, wyjaśnienie i przedstawienie ostatnich chwil politycznego bytu Rzeczypospolitej. Najcelniejsi historycy nasi, współubiegali się w kreśleniu obrazów z czasów upadku państwowego Polski, a działo się to nawet z ujmą dla historycznego badania czasów odleglejszych. Najznakomitsze pióra obrabiały wiek ośmnasty i jeszcze co dzień pojawiają się dzieła historyczne, panowanie ostatniego króla polskiego mające za przedmiot. Dość przytoczyć nazwiska: Bartoszewicza, Kraszewskiego, Kalinki, Morawskiego, Szujskiego, Schmitta, Wegnera, aby zrozumieć, jakiemi siłami rozporządzała literatura nasza dla przedstawienia dziejów ośmnastego wieku.

To staranie o wyjaśnienie historji upadku nie może być przypadkowem; ta predylekcja do 18go wieku musi mieć głębsze powody, a leżą one nie w formalnej, ale zasadniczej stronie rzeczy i ośmielamy się twierdzić, że nie obfitość materjałów, zawartych w pamiętnikach, aktach koronnych, archiwach zagranicznych, zniewala pióra historyków i każe im kreślić dzieje ostatnich czasów wolnej Rzeczypospolitej, ale popycha ich do tego ten mimowiedni głos sumienia narodowego, który każe się pytać o przyczyny upadku, aby z nich mógł wyciągnąć wnioski w sprawie podźwignienia tego, co upadło. Dobrze to świadczy o rozbudzeniu rozsądku w narodzie, który przekłada obrachunek wad, nad apoteozę zwycięztw; ta wbija go w dumę, tamten uczy myśleć o poprawie. Powinniśmy też z zadowoleniem witać każde dzieło rozświecające nam dzieje upadku i z niego czerpać naukę na przyszłość. Równie tu pożądany obraz całości upadku, jak wyświecenie pojedyńczych jego objawów; ważnym tu każdy najdrobniejszy przyczynek, aby nie ominąć najmniejszego popełnionego błędu; gdyż często — jak uczą przykłady — małe błędy sprowadzają wielkie klęski, i to klęski nie do powetowania. Książka, którą mamy przed sobą, należy do szeregu dzieł, które nie całokształt dziejów 18go wieku, ale jednę chwilę tychże przedstawiają. Ma ona za przedmiot reformę przeprowadzoną na sejmie r. 1764 przez Czartoryskich, a ku odrodzeniu upadającego państwa skierowaną.

Dzieło swoje podzielił p. Kisielewski na trzy części. W pierwszej maluje stan Rzeczypospolitej polskiej za panowania obu królów z domu saskiego, rozpoczynając przegląd dziejowy od śmierci ostatniego Jagiellona. Część to najkrótsza, przeglądowa, przygotowująca czytającego do zrozumienia dalszych dziejów; ale napisana bardzo śmiało, z niepospolitą werwą, znajomością przedmiotu i zdradzająca w autorze wielki dar spostrzegawczy, rozum krytyczny i zamiłowanie dziejów, cechujące prawdziwego historyka. Odnajduje on słabą stronę ustroju państwowego w okoliczności, że w Polsce stało wszystko ludźmi nie instytucjami i że od jakości obywateli nie instytucyj zawisłym był dobrobyt państwa; a gdy przez liberum veto „podniosła się jednostka szlachecka na szczyt władzy, godność narodowa stała się od niej zależną“. Markuje stosunek między królem a narodem; korrupcję szlachty skutkiem wolnej elekcji, osobistego głosowania „viritum“ i nastręczającej się przy elekcjach, w lat kilkanaście, sposobności przekupstwa. Tak przebiega autor panowanie Batorego, Wazów, a dochodząc do czasów saskich, nie waha się powiedzieć, że „czasy trzydziestoletnich rządów Augusta 3go rodzą odrazę i każą najzupełniej zwątpić o skołatanej Rzeczypospolitej“. Przy końcu tej pierwszej części zastanawia się autor nad sądownictwem, obradami sejmowemi, wreszcie nad stanem oświaty i systemem nauczania młodzieży, a każde zdanie jego, poparte świadectwem współczesnych, nosi na sobie tę cechę prawdy, która zniewala do bezwzględnego oddania słuszności autorowi i — faktom.

W części drugiej daje autor przegląd polskich pisarzy politycznych, epoki saskiej i ich dążenia do reformy. Stara on się pokazać, że wśród współczesnych, wśród zepsutego społeczeństwa szlacheckiego, były pojedyńcze, a dość liczne jednostki, które nie taiły, ani przed sobą, ani przed narodem, smutnego stanu rzeczy i radami swemi chciały wprowadzić ogół na drogę poprawy stosunków, przekonane, że dalsze trwanie status quo, wiedzie do niechybnego upadku. Rozbiera po kolei treść dzieł: Karwickiego „De ordinanda Republica“ — Szczuki „Eclipsis Poloniae“ — Jabłonowskiego „Skrupuł bez skrupułu“ — Poklateckiego „Kwestje polityczne“ — Garczyńskiego „Anatomią Rzeczypospolitej“ Leszczyńskiego „Głos wolny“ — Konarskiego „O skutecznym rad sposobie“ — wreszcie Sienickiego „Sposób konkludowania obrad.“

Przegląd ten uczyniony bardzo skrupulatnie; widocznie autor nie ze słyszenia, ale z własnego gruntownego odczytania zna każde z rozbieranych dzieł politycznych i umie każdemu przydzielić właściwe stanowisko, ocenić prawdziwą wartość. Przegląd ten był koniecznie potrzebny, aby się dowiedzieć o ile Czartoryscy w swych zamiarach reformy społecznej i politycznej poszli za wskazówkami wymienionych statutów polskich, zwłaszcza Konarskiego i Karwickiego, a o ile nowemi szli drogami. Posłużył ten przegląd do nabycia przekonania, że ci wszyscy współcześni statyści „przewidują rozbiory Polski między ościenne mocarstwa, jeżeli złego prędko i stanowczo się nie usunie“.

Wyjaśniwszy w tych dwóch częściach o ile społeczeństwo było przygotowane do przyjęcia reformy Czartoryskich, kreśli autor w części trzeciej, najdłuższej, charakterystykę rodziny książąt Czartoryskich, zwłaszcza portrety Michała i Augusta Czartoryskich, oraz zabiegi ich koło poprawy formy rządu w Polsce. Przyznaje im autor nieskończoną wyższość wykształcenia nad wszystkich, nawet najoświeceńszych mężów Rzeczypospolitej i przytacza sąd Roeppla o „familji“, który i my za nim jako charakterystyczny powtórzymy.

„Całe mnóstwo innych wielkich familij, które ich (Czartoryskich) otaczały, stało nieskończenie niżej od nich, pod względem przymiotów ducha, talentu, wiedzy, politycznego i obyczajowego wykształcenia, a podczas gdy Potoccy, Radziwiłłowie i inni przedewszystkiem tylko o swych własnych myśleli interesach, oni łączyli z dobrem własnem i dobro ojczyzny, zamierzając jej usterki i błędy gruntownej poddać reformie. Kto ich życie i czyny jako całość rozważa, nie może twierdzić, że dążyli do władzy tylko dla władzy i że ona była dla nich jedynie środkiem do celu. Przy ówczesnym stanie rzeczy w Polsce, przy stosunku ich familji do Rzeczypospolitej, nie zostawał im żaden inny wybór, tylko być młotem lub kowadłem. Czyż można im policzyć za winę, że raczej woleli być pierwszym jak drugiem, że do tego celu użyli środków takich, bez którychby przy ogólnym stanie Rzeczypospolitej, przy charakterze i sposobie myślenia społeczeństwa, na takowe ani oddziaływać, ani wpływu posiąść nie byli w stanie? Prawdą jest, że tak jak inni nie gardzili w tej walce środkami przekupstwa i gwałtu, że trzymali w służbie najzawołańszych zawadjaków i rębaczy („wołczyńskie wilki“), że, ile razy potrzeba było, sejmiki i sejmy rwali, trybunały gwałtem fundowali i na pomocy rosyjskiej się opierali; ale nie oni pierwsi zawołali Rosjan do Polski. Nim się chwycili tego kroku, zrobili najprzód dwukrotne doświadczenie (w latach 1717 i 1733), że przeciw woli Rosji nic się w Polsce przeprowadzić nie da: „im übrigen zahlten sie ihrer Zeit und ihrer Nation, in deren Mitte sie lebten, als Menschen dieser Zeit und dieser Nation den unvermeidlichen Tribut“. Za swoje grzechy i błędy odpokutowali ciężko; po długiem życiu, pełnem pracy, mozołu i walki, musieli w sędziwym wieku patrzeć na upadek swego dzieła i patrzeć na odroczenie swoich widoków: odrodzenia ojczyzny, w daleką, nieokreśloną przyszłość“...

W części trzeciej wyzyskał autor najpoważniejsze źródła i zgromadził wszystko, co może książąt Czartoryskich przedstawić w świetle najkorzystniejszem, jako bezinteresownych reformatorów i dbałych o dobro kraju obywateli. Każdy

nieuprzedzony podzieli zapatrywania autora, że reforma Czartoryskich, przeprowadzona na sejmie konwokacyjnym 1764 roku, była w zasadzie nietylko nader pożądaną, ale dla upadającego państwa konieczną; z drugiej strony jednak uderzyć musi każdego jakiś dziwny brak w scharakteryzowaniu owoczesnych politycznych stosunków i pobieżne traktowanie ujemnych stron w zabiegach książąt Czartoryskich. Brakuje jednej farby w obrazie skreślonym przez autora; farby, któraby obraz zrobiła może bardziej ponurym, ale za to bardziej prawdziwym. Brakuje poglądu na politykę rosyjskiego dworu w czasach królów elekcyjnych, zwłaszcza Wazów, i oddziaływanie jej na dążenia polskiego narodu. Dając taki pogląd, nie mógłby autor przeoczyć, że wpływ ten był dla naszego narodu zawsze szkodliwy; że polityka dworu petersburgskiego starała się zawsze i wszędzie paraliżować politykę polską, a jeśli kiedykolwiek wyciągała ku nam rękę, był w niej zawsze podarunek Danaów. Najmniejszej nie może ulegać wątpliwości, że ludzie takich dyplomatycznych stosunków, jak książęta Czartoryscy, obdarzeni prócz tego wysokiem wykształceniem, musieli dobrze znać dzieje narodowe i stosunki polityki polsko-rosyjskiej, od pierwszych czasów zetknięcia się tych dwóch państw ze sobą; i dlatego nie mogli bezwzględnie ufać zapewnieniom rosyjskiego tronu; nie mogli ślepo polegać na obietnicach Katarzyny. Byli zanadto wykształconymi statystami, aby nie mieli pojąć, że tylko nieprzerwana wspólność interesów może wyrobić w dwóch sąsiednich narodach i państwach poczucie i potrzebę wzajemnej pomocy, wzajemnego poparcia; a przecież tej nieprzerwanej wspólności interesów narodu swego z moskiewskim, nawet przez bardzo powiększające szkła uprzedzeń, dostrzedz nie byli w stanie, w całym ciągu dziejów poprzednich. W tym to punkcie poglądy autora są niejasne, bezbarwne niejako; nie śmie powiedzieć wprost, że odwołanie się do pomocy rosyjskiej, wprowadzenie wojsk rosyjskich do kraju, dla poparcia swej reformy, było polityczną zbrodnią. Nie „strasznemu fatalizmowi, co zaciążył nad losami Polski, co zaślepił oczy społeczeństwa" — jak chce autor — mają Czartoryscy zawdzięczyć, że ich reforma nie była trwałą; że ją pierwsze uderzenie przeciwników zwaliło; ale tej okoliczności, że wbrew woli większości narodu, przeprowadzili swój zamach stanu — z pomocą obcych bagnetów. Bo nie da się zaprzeczyć, że ogół narodu, choć zepsuty i ciemny, miał jednak słuszną, choć tylko instynktową odrazę do reform zdziałanych pod ochroną broni rosyjskiej i podejrzywał Czartoryskich o samolubne cele. Nie usprawiedliwi Czartoryskich to, „że nie oni pierwsi zawołali Rosjan do Polski" — jak mówi Roeppel — bo błędów nie naprawia się błędami; nie usprawiedliwi ich gorąca chęć podźwignięcia kraju z upadku, bo za tą chęcią stał — bądź co bądź — własny interes familji. — Reforma Czartoryskich, to świetny historyczny fajerwerk, wykonany przez ludzi ambitnych, idących do celu niekoniecznie czystemi drogami; to czyn, który w następstwie był wzorem innym reformatorom — Targowicy. — Historja powinna uznać dobre chęci Czartoryskich, ale równocześnie napiętnować fałszywość drogi, jaką poszli.

Gdyby autor był przedstawił tę odwrotną stronę medalu, bez wszelkiego upiększania, reforma książąt Czartoryskich przedstawiłaby się czytającemu w swej rzetelnej wartości; tak jak ją autor przedstawił, wydaje się dziełem pierwszorzędnej doniosłości. — Kto chce przeprowadzać reformy; kto chce czyścić Augiaszową stajnię ze śmiecia i brudów, ten musi być jak łza czysty; a czystymi nie byli przecież ludzie, którzy żądali od carowej stałych subsydiów, dla uorganizowania systematycznego przekupstwa. Zwalczać zepsucie zepsuciem, to zaiste szalony zamiar — jak na reformatorów!...

Cała ta 3cia część dzieła p. Kisielewskiego — jakkolwiek starannie opracowana — robi wrażenie czegoś niezupełnego; czuje się, że autor nie wypowiada w niej całego swego przekonania o ludziach i zdarzeniach; nie znać w niej bezwzględnej, niczem nie skrępowanej, prawdomowności historyka, która może boli, ale uzacnia.

Część czwarta zajmuje się reformą samą na sejmie konwokacyjnym roku 1764 przeprowadzoną i reasumuje konstytucje na tym sejmie uchwalone, dzieląc je na „konstytucje podyktowane polityką chwili i konstytucje, mające na celu reformę Rzeczypospolitej". Pierwszych jest siedm, drugich trzynaście. Każdą przywodzi autor w krótkości, nie zapuszczając się w rozbiór krytyczny, a czyni tak z powodu, że krytykując dawny ustrój, wykazał jego błędy; zatem doniosłość nowych konstytucyj pokazuje się z samego porównania. Zresztą opisując przebieg obrad sejmowych ma sposobność zastanowienia się nad projektami książąt Czartoryskich.

W całości dzieło p. Kisielewskiego jest bardzo cennym nabytkiem dla naszej literatury historycznej i przysparza jej nowego, a wielce uzdolnionego pracownika. Panuje on nad przedmiotem; umie wyzyskać źródła, ma dar spostrzegawczy; językiem włada poprawnie, nawet świetnie; tłumaczy się jasno, raźnie; stara się zachować wszędzie spokój wytrawnego męża nauki i jeżeli zważymy, że dzieło o którem piszemy, jest pierwszą pracą historyczną młodego autora, przymioty jego muszą nas o tyle żywiej zainteresować, o ile błędy mniej zadziwiać.

W. J. Wdowiszewski.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Dowiadujemy się, że p. Władysław Bełza zgromadził bardzo wiele wybornych i zajmujących prac dla młodocianego wieku, które będzie pomieszczał w wydawanem przez siebie „Towarzyszu pilnych dzieci". Prawdziwie cieszy nas ta wiadomość, że jedyne to u nas pismo dla dzieci, które w każdym domu znajdować się powinno, od Nowego roku jeszcze bardziej się ożywi i stanie się źródłem pożytecznej rozrywki dla maleńkich naszych obywateli. Dodajemy nadto, że Towarzysz od Nowego roku będzie dawał ilustracje, i to ilustracje kolorowane.

*** P. Bałucki przerobił swoich „Pracowitych próżniaków" na komedję cztero-aktową, zmieniwszy całkowicie charaktery osób i prowadzenie sceniczne.

*** Janek Mrówka (Jeleński) przygotował do druku nową pracę ludową pod tytułem: „Pogadanki w karczmie."

*** Zeszyt XII-ty „Słownika geograficznego", zawierający w porządku alfabetycznym wyrazy od Czulkieniszki do Dereneczna, opuścił prasę drukarską.

*** W Warszawie ukazał się pierwszy numer „Kurjera rolniczego", tygodnika dla gospodarzy wiejskich, wydawanego przy „Gazecie rolniczej" pod redakcją Aleksandra Trylskiego. Pismo to przeznaczone jest dla urzędników gospodarczych, nauczycieli wiejskich, właścicieli mniejszych posiadłości ziemskich i gospodarzy praktycznych.

*** Od nowego roku wychodzić będzie w Warszawie pismo tygodniowe p. t. „Romans i powieść". Sam tytuł określa jasno zadanie publikacji, której wydawcą jest p. G. Unger.

*** „Kosmos", czasopismo polskiego towarzystwa przyrodników imienia Kopernika, w zeszycie 11-tym z r. b. zawiera: 1. Fizyka we współczesnej Francji, studjum Zygmunta Wróblewskiego. 2. Roślinność letnia i jesienna okolic Bilcza i Cygan, podał Bronisław Błocki. 3. Przegląd krytyczny podręczników, używanych do wykładu nauk przyrodniczych w galicyjskich szkołach średnich, przez dra Br. Radziszewskiego. 4. Kronika naukowa, przez A. H. Ślósarskiego, L. Hodolego i Br. Radziszewskiego. 5. Wiadomości bieżące.

Sztuki Piękne.

*** Jan Rosen, utalentowany malarz warszawski, złożył w darze dla muzeum sztuki w Sukiennicach krakowskich obraz wielkich rozmiarów „Pożegnanie".

Płótno to malował artysta w ciągu trzech miesięcy w Krakowie,

*** Daniel Penther, mało u nas znany malarz, rodem z Galicji, został mianowany rządowym kustoszem galerji obrazów w wiedeńskiej akademji sztuk pięknych.

*** W tych dniach ukończyła się doroczna wystawa sztuk pięknych w Genewie.

Godnem jest uwagi, że na wystawę tę sędziowie przypuścili w tym roku wyjątkowo zegarki rodaka naszego p. Wawrzyńca Gostkowskiego, uznając je za wyroby posiadające wszelkie warunki wymagań artystycznych.

Pomimo tego, iż Genewa słynie z wyrobu zegarków, dotychczas żaden tamtejszy zegarmistrz nie został przypuszczony do udziału w wystawie sztuk pięknych.

Pierwszym i jedynym, który dostąpił tego zaszczytu, jest p. Gostkowski, a na domagania się innych zegarmistrzów komisja wystawowa odpowiedziała, iż stanie się zadość ich żądaniu, jeżeli będą w stanie dostarczyć wyrób takiej artystycznej wartości, jaką posiadają zegarki p. Gostkowskiego.

Jest to najlepszem świadectwem zasługi na tem polu naszego rodaka, którego zatytułowano w katalogu: »*Constructeur d'horlogerie de haute précision*«.

ROZMAITOŚCI.

Sztuka kulinarna w Chinach.

Cywilizacja i sztuka kucharska, w mniemaniu Chińczyka, są to dwie rzeczy najściślej z sobą połączone...

Chińczyk nie pojmuje nawet, w jaki sposób naród ucywilizowany może nie przywiązywać wielkiej wagi do rodzaju jedzenia; w jaki sposób można jadać, naprzykład, nawpół surowe mięso, jak to robią Anglicy, których też za to pomimo całej ich politycznej potęgi, Chińczyk uważa za naród bardzo nizko stojący pod względem moralności i ukształcenia!

Jeść na wpół surowe mięso, najważniejszą czynność kucharza powierzać własnemu żołądkowi, podług dobrze urodzonego Chińczyka, mniej więcej to samo, co dla nas żywić się pulchną ziemią, jak to w razach konieczności robiły pierwotne ludy Florydy lub karmić się na wzór Tryglodytów.

Mylą się więc bardzo ci, którzy sądzą, że szczury, psy koty, i inne podobne przysmaki stanowią prawdziwy typ chińskiego pożywienia; Chińczyk jada je wprawdzie, nie z upodobania lecz z konieczności, gdy nie ma nawet za co kupić ryżu, który stanowi zwykłe pożywienie klasy roboczej.

I wówczas jeszcze Chinczyk stara się o możliwie dobre przyprawienie swych potraw: sieka je, przerabia, przyprawia, smaży, gotuje, dopieka, byleby tylko nadać im smak jak najlepszy; ryż zaś gotuje na sypko, aby módz po ziarnku spożywać...

Nie mniejszą niesprawiedliwość popełniają ci względem synów niebieskiego państwa, którzy biorą kuchnie uliczne za wyraz kulinarnej sztuki w Chinach; kuchnie te wprawdzie rzucają się w oko, drażnią powonienie Europejczyka, lecz są one tylko garkuchniami, czemś w rodzaju tak zwanej restauracji *»pod słońcem«*, około pompy na rynku, której nikt przecie nie weźmie za *alfę* i *omegę* naszej sztuki kucharskiej.

Chińskie kuchnie uliczne przedstawiają się w kształcie żelaznych piecyków, podpalanych węglem, na których stoją misy, garnki i patelnie.

W pierwszej waży się jakaś zupa z mięsa i jarzyn; w drugich — mięso z kluskami, na trzecich wreszcie smarzy się ptactwo i ryby.

Złośliwi utrzymują, że Chińczycy do potraw używają oleju rycynowego; jestto jednak rzeczą obojętną, bo choćby zamiast oleju brano nawet oliwę prowancką, lecz równie jak pierwszy starą i zepsutą, to w rezultacie smak i woń dla podniebienia i nosa Europejczyka byłyby zawsze jednakowo. . niemiłe.

Nie można jednak, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, wnioskować o stanie sztuki kucharskiej w Chinach, ani z tego co biedni jadają, ani z kuchni ulicznych, lecz trzeba zbadać czem się żywią ludzie dostatni.

Wszystkie potrawy przez nich jadane są lekkie, łatwo dające się trawić, gdyż mało ruchliwe życie wytworzyło niemal u wszystkich Chińczyków trudność trawienia.

Żołądek jego nie może zastępować kucharza, musi otrzymywać pokarm w jak najbardziej wykończonej formie; wskutek czego Chińczyk, uważając siebie za ostatni wyraz cywilizacji, z pogardą spogląda na zajadającego krwawy befsztyk Anglika i zwie go barbarzyńcą.

„Siadam do stołu żeby jeść, nie zaś żeby rzezać bydło, jak w szlachtuzie — odparł jakiś Chińczyk na zapytanie, dlaczego nie używa noża i widelca przy stole lecz posiłkuje się patyczkami...

Chcąc jednak powziąć dokładne pojęcie o stanie sztuki kucharskiej w Chinach, należy przejrzeć choć jedno *menu* uczty, wydawanej przez bogatego Chińczyka, kupca lub mandaryna, z którego to jadłospisu aż nadto można się przekonać, że sztuka kulinarna stoi tam bardzo wysoko, niemal na tej samej wysokości co we Francji, gdzie, jak wiadomo, lubią i umieją jadać!

Pewien podróżnik po Chinach, p. Russel, opisuje ucztę w Ningpo, wyprawioną w oberży zwanej „Galerją akademika cesarskiego“, słynnej z najlepszej kuchni w całem państwie niebieskiem po Pekinie.

Oto z pewnemi skróceniami jego opis.

W oznaczonym dniu zaproszone chińskie damy przyniesiono w lektykach do galerji; reszta gości przyszła pieszo.

Sala jadalna była długa, ale wązka; przednie jej okna wychodziły na ulicę.

Na stole ciągnącym się wzdłuż pokoju stały przeróżne zakąski dla zaostrzenia apetytu: były tam jaja na twardo, wzorzysto malowane, półgęski, flaki rozgotowane, orzechy i owoce osmażane w cukrze, jagody i rośliny marynowane, raki morskie i jakieś nieznane muszle.

Trzeba dodać, że owe jaja na twardo konserwują się w wapnie i że z każdym rokiem nabierają większej wartości.

Z niejakim wahaniem zabieraliśmy się do tego śniadania, nikła jednak nieufność w miarę zaostrzenia apetytu.

Nakoniec rozpoczął się właściwy obiad.

Zajęliśmy miejsca za stołem; każdemu dano talerz i łyżkę porcelanową.

Patyczki goście przynieśli ze sobą.

Przy każdym talerzu leżał ręcznik złożony i zwilżony w wodzie, zamiast naszych serwet; obok — po dwa kieliszki metalowe.

Najpoważniejszy Chińczyk, w czapce mandaryna, czuwał nad ścisłem wykonywaniem przepisanego ceremonjału.

Stosownie do zwyczaju, jako pierwszą potrawę, podano nam zupę z gniazd ptaków indyjskich.

Nie sądźcie jednak, aby te gniazda z mchem, pierzem i inemi przyległościami pływały po półmisku; przedstawiają się one w postaci gęstego kleiku pływającego po powierzchni zupy, która była mdła i bez smaku.

To też ona nie stanowi właściwej potrawy, podają bowiem do niej mnóstwo przeróżnych sosów które za przykładem i wskazówkami naszego ochmistrza, mięszaliśmy z zupą.

Na drugie danie podano nam potrawkę ze ślimaków morskich, zielonego koloru.

Ślimaki były tak ślizkie, że rady sobie z niemi nie było dać można; mimo to, zajadaliśmy je ze smakiem.

W tem mistrz ceremonji prosi o głos; dajemy mu go z przyjemnością i dowiadujemy się, że zapomnieliśmy zadość uczynić najważniejszemu wymaganiu chińskiej grzeczności, gdyż żaden z nas dotychczas nie podał do ust swemu sąsiadowi smacznego choć strasznie śliskiego kąska, zanurzonego głęboko w sosie.

Trzeba była wynagrodzić zwłokę.

Trzecią potrawą była skóra z głów jesiotrów, rozgotowana na galaretę; łatwo sobie wyobrazić ile ryb zużyto dla jednego półmiska.

Później podano potrawkę z psa morskiego i potrawkę z wieprzowiny; a następnie zupę rakową z kluskami.

Chińczycy nie mogli pojąć dla czego kilku nas Europejczyków, skwapliwie się rzuciło do wieprzowiny, gdy równocześnie podano taki przysmak jak pies morski i zapewne śmieli się z nas w duszy.

Napój, jakim nam kolejno napełniano kieliszy, był trojaki.

Pierwszy mocny; ten pito duszkiem, jak wódkę.

Drugi, było to wino zaprawione korzeniami, ostre i przyjemne.

Trzeci wreszcie — było to wino lekkie, zwyczajne, dla ugaszenia pragnienia.

Chińczycy wcale dobrze piją.

Po potrawach ostrych lecz klejowatych zażądaliśmy chleba, którego nam nie dano, gdyż chleb na uczcie jest wielkiem wykroczeniem przeciwko ceremoniałowi.

Półmiski zmieniały się bez przerwy.

Przyniesiono nam *ryż nieśmiertelnych.*

Był to rodzaj kwaśno-słodkiej marmolady, ze śliwek i innych owoców smażonych, między któremi jednak nie widziałem ani ziarnka ryżu.

Potem podano jakąś włosistą jarzynę; dalej marynowane grzyby z Mandżurji.

Nieodzowną potrawą jest sos z języków kaczych, najulubieńszy przysmak Chińczyków.

Przyniesiono jeszcze potrawkę z muszli, nikt jej jednak nie tknął.

Było to znakiem, że uczta może się już skończyć.

Jak dowiedzieliśmy się od gospodarza, oczekiwało nas jeszcze dwadzieścia dań, wybornych i rzadkich, lecz my mieliśmy już dosyć; podano więc deser, złożony z ryżu, cukrów, owoców smażonych i innych przysmaków, z grona których gastronomja chińska wyklina surowe owoce, jako ciężkostrawne.

Na zakończenie wniesiono herbatę.

Mieliśmy już wstać, gdy mistrz ceremonji począł wykrzykiwać z całych sił jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Była to mowa, wychwalająca gościnność gospodarza, pominięcie której jest obrazą dla amfitrjona.

Oto krótki obraz chińskiej uczty, która byłaby jeszcze o dwadzieścia dań wspanialszą, gdyby nie to, że goście byli już nasyceni.

Jakżeż wobec tego można odmawiać Chińczykom wysokiego kultu... żołądka?

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 52. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.

Koniec tomu jedenastego.